

JAK KSZTAŁCIĆ NAUCZYCIELI?

w ocenie dwóch resortów: oświaty i wychowania oraz nauki, szkolnictwa wyższego i techniki

TYGODNIK
SPOŁECZNO-OŚWIATOWY

ROK LXVI

NR 10

6 III 1983

CENA 10 ZŁ

GŁOS

NAUCZYCIELSKI

W NUMERZE:

- Rozmawiamy
O KOBIETACH W ZAWODZIE
Z DOC. T. MALINOWSKIM
- Zamieszczamy
MAŁE VADEMECUM DLA PAŃ
- Przedstawiamy
NAUCZYCIELKĘ Z LASKOWIC
CZYLI SPOSÓB NA ŻYCIE
- Prezentujemy
ZWIĄZEK W DZIAŁANIU

WĘDRÓWKI

WARSZAWSKICH UCZNIÓW

DZIEL I RZĄDZ

ZENOBIJA MILLER

Jeszcze nie tak dawno trzeba było pokonać sporo kilometrów, aby uchwycić jakiś osobliwy szczegół do obiegowego tematu „dowożenie dzieci do szkoły”, który eksplodował wraz z administracyjnymi próbami upowszechnienia zbiorczości na wsi. Dziś wyrasta on ponad wielką zbiorczość. Wyrasta niejedną osobliwością wśród wielkopłytowych wieżowców nowych osiedli mieszkaniowych na obrzeżach dużych aglomeracji miejskich, osiedli, w których urbanistyczna wyobraźnia budowniczych zatrzymała się na progu sy-pialni. Toteż dzieci w wieku niemowlęcym, przedszkolnym i szkolnym w nich nie brakuje. Brak natomiast przybytków, których nawet przed dziesięćkami lat nie przeocza-li, wznosząc swoje domostwa, nasi ojcowie. A takimi były, są i będą między innymi szkoły.

Oto warszawski kompleks osiedlowy Ursynów-Natolin, rozrastający się jak molo-ch na ogrodniczo-sadowniczych terenach od południowej strony stolicy. Według danych, jakie uzyskałam w mokatowskim Inspektoracie Oświaty, na początku września spis wymienił 6800 dzieci w wieku szkolnym, natomiast miejsc w powstałych tu placówkach było 1560. Sytuacja zmienia się niemal z dnia na dzień: mieszkańców przybywa, szkoły pozostają punktami na planach rozwoju dzielnicy. Najwięcej, bo aż pięć na jedenaście zaplanowanych, powstało już na Ursynowie Północnym: trzy elementarne i dwie dla starszych klas (system budownictwa oparty na koncepcji dziesięciolatki), Ursynów Południowy dostał „w prezencie” tylko część dydaktyczną szkoły elementarnej, Natolinowi przypadła w udziale figa, chociaż liczy sobie już osiem tysięcy mieszkańców (cały Ursynów ma ich 100 tysięcy) i powinien dysponować już teraz co najmniej 24 izbami lekcyjnymi plus 360 miejscami w przedszkolach, a docelowo w Natolinie powinno powstać dwadzieście szkół.

Nawet upchanie dzieci na trzy zmiany problemu więc nie rozwiązuje. I tak 2,5 tysiąca uczniów musi w bieżącym roku dojeżdżać: 1830 specjalnymi szkolnymi liniami autobusowymi MZK wyrusza każdego ranka w kierunku podłączonych do sto-



Fot. Cz. Górski

DZIEŃ KOBIET i... 364 dni mężczyzn!

NAUCZYCIELKA W KILKU ROLACH

Nasz konkurs pod hasłem „Nauczycielka w kilku rolach”, adresowany tym razem wyłącznie do kobiet, wzbudził szerokie zainteresowanie. Temat został „kupiony”, mimo iż uczestnictwo w konkursie wymagało tego, czego na ogół kobietom najbardziej brakuje: czasu. Ten czas był potrzebny, aby — zaprezentować przynajmniej część sytuacji i uwikłań, w jakie popada kobieta zmuszona godzić odpowiedzialną pracę z innymi obowiązkami. W sfeminizowanym zawodzie nauczycielskim ta ekwilibrystyka jest dniem powszednim. Gros nauczycielek to jednocześnie studentki, działaczki społeczne, związkowe, opiekunki organizacji uczniowskich, dyrektorki lub zastępczynie, a także żony, matki, gospodynie domowe. Ich życie zawodowe — to droga pełna kolców i wybojów, droga przez mękę. Próbką tego są zaprezentowane poniżej fragmenty czterech prac konkursowych.

KIM BYŁAM, KIM JESTEM?

Po wielu latach pracy zawodowej, zdopingowana konkursem, zaczęłam analizować swoje życie. Historia dzieli minione 38-lecie Polski Ludowej na różne etapy. Dla mnie istniał jeden etap — etap uczenia i wychowywania dzieci. Chociaż waliły się teorie, ja stałam prosto przed swoimi wychowankami.

Lata osiemdziesiąte zastały mnie u szczytu realizacji moich marzeń (poważanie, uznanie, nagrody, odznaczenia) i dlatego tak bardzo bolał upadek. Stracili mnie z tego szczytu moi wychowankowie, którzy jako dorośli ludzie mogą mi powiedzieć, że nie bardzo udało mi się to całe moje „wychowywanie”. Dziś już nie mówię dzieciom „moich” dzieci o pięknej przyszłości, o poszanowaniu pracy i o tym, kiedy cukierki będą bez kartek. Nie chcę, by żyły złudzeniami, którymi karmiłam ich rodziców.

Niech lepiej będzie wszystko realne, naturalne i prawdziwe.

Zastanawiam się, ile to ja pełniłam funkcji w ciągu tych 29 lat pracy nauczycielskiej? Kim byłam?! Nauczycielką, żoną, matką, dyrektorką, studentką, kufatorem społecznym, radną, opiekunem zabytków, działaczem kulturalnym, rolnikiem. Wszystko to przeplatało się wzajemnie, nakładało, występowało razem i osobno. Wszystkim tym byłam — ja i chyba całe moje pokolenie, które wyrosło w murach liceów pedagogicznych w Polsce. Tak nas wychowano i nauczono. Nie dzielono nas na specjalistów „od czegoś tam”. Byliśmy wszechstronni, wszystkowiedzący, dla swoich wychowanków najmańdrzejsi.

Kiedy przyszedł do pracy, nie musiałam walczyć o swój autorytet. Ja już go miałam. Ustalony był zwyczajem wsi pol-

skiej. Moim zadaniem było ten autorytet utrzymać, umacniać i bogacić. Dla mnie i moich trzech koleżanek było to zrozumiałe. Trudniej było jednak z realizacją. W szkole siedmioklasowej pracowało nas cztery młode dziewczyny. Dyrektorka miała 20 lat, jedna koleżanka 23 lata, druga 18, ja 17.

Nie bardzo jeszcze okrzeplam w swoim zawodzie, kiedy zjawił się On. Przyciągnął miłość z lat szkolnych i stał się wybranym mojego młodego serca. Wszyscy mówili, że nie jest dla mnie. Chłopak wiejski, nie miał siedmiu klas, nie miał zawodu, ale wyglądał wspaniale i za takiego się

NADZIEJE I RZECZYWISTOŚĆ

MARIA RYBARCZYK

Zawsze, gdy szkolnictwo nękane jest różnego rodzaju „chorobami”, gdy piętrzą się trudności — sięga się po instrument najczulszy, przy udoskonalaniu najpewniejszy — po kadrę. Dzieje się tak nie bez powodu. Mądry, ambitny, twórczy nauczyciel potrafi przysporzyć sławy małej, skromnej szkółce i odwrotnie — nie pomogą pałace i najlepsze zabiegi organizacyjne, jeśli nauczyciel niewiele może z siebie dać. Więc dobra szkoła, jej wysoki poziom to najpierw dobry nauczyciel.

Dziś, gdy oświata, jak wiele innych dziedzin życia, boryka się z nie lada trudnościami, troska o kadrę — jej dobór i dalszy rozwój — staje się sprawą numer jeden. Szkoła potrzebuje dobrego nauczyciela, takiego, który potrafiłby łączyć w sobie funkcje specjalisty w określonej dziedzinie, wychowawcy i opiekuna młodzieży. Te umiejętności trzeba zdobyć wcześniej, zanim przekroczy się progi szkoły, a więc w wyższej uczelni.

To zaś zmusza do pytania, czy obecnie funkcjonujący system kształcenia nauczycieli dostarcza oświacie takiej właśnie dobrze przygotowanej kadry? Co należy zmienić, z czego zrezygnować, a co utrzymać w uczelnianym kształceniu pedagogów, aby wiedza i umiejętności zdobyte w czasie studiów owocowały pełniej i szybciej? A w ogóle — jakiego nauczyciela chcemy kształcić dla szkoły współczesnej?

Te i inne pytania padają zawsze, dziś jednak są bardziej aktualne niż kiedykolwiek. Mamy oto za sobą 10 lat kształcenia nauczycieli według nowych, powszechnie akceptowanych zasad. Decyzją dwu resortów — oświaty i szkolnictwa wyższego — kadry dla oświaty przygotowywane są od 1973 roku w systemie jednolitych, jednokierunkowych studiów magisterskich. Od 10 lat kształcenie to jest wspólną troską obu resortów; i choć nie zawsze i nie we wszystkich sprawach porozumienie było pełne, to jednak istotne rozbieżności nie istnieją. Szkolnictwo wyższe, gdy patrzeć z perspektywy czasu, uczyniło w minionym dziesięcioleciu wiele dla kształcenia kadry pedagogicznej; odpowiadało na pałace potrzeby oświaty nawet wówczas, gdy organizowanie kształcenia, zwłaszcza dla pracujących, wymagało wielu wyrzeczeń.

Pytania o kierunek, zakres i treść kształcenia nauczycieli padły w lutym br. w czasie obrad prezydium kolegiów dwu ministerstw — oświaty i szkolnictwa wyższego. Postawiono je z myślą o wyciągnięciu wniosków z dotychczasowej praktyki, o dalszym marszu i ewentualnych zmianach w dotychczasowym kształceniu nauczycieli. Do obrad, na które zaproszeni zostali przedstawiciele uczelni wyższych oraz kuratorów oświaty i wychowania — przygotowane się solidnie; specjalny zespół roboczy, po dokonaniu sondażu w środowiskach oświaty i nauki, przedstawił ocenę stanu aktualnego, jak też propozycje zmian. Dyskusja, w której głos zabrali rektorzy i kuratorzy, wzbogaciła zaprezentowany przez zespół roboczy materiał o uwagi z poszczególnych środowisk. Podkreślam ten fakt nie bez powodu. Zbyt wiele projektów i decyzji rodziło się w nie tak dalekiej przeszłości bez konsultacji na dole, by dziś lekceważyć ten właśnie fakt. Tym razem sposób dochodzenia do decyzji — konsultacje w uczelniach i wśród nauczycieli, zaproszenie na wspomniane obrady reprezentantów tych środowisk, pozostawienie problemów do dalszej „obrobki” w gronie fachowców, teoretyków i praktyków — budzi szacunek i nadzieję, że nowe ustalenia nie będą oderwane od życia.

Czy i jakie zmiany w obecnym systemie kształcenia nauczycieli wydają się ko-

nieczne? Jest ich kilka, a wynikają z rozmijania się w wielu punktach systemu kształcenia nauczycieli z potrzebami szkolnictwa. Dotyczy to przede wszystkim luźnych związków między kształceniem teoretycznym a praktyką. Przygotowany przez uczelnie wyższe kandydat na nauczyciela to na ogół dobry specjalista przedmiotowy, ale niewiele umiejący ponadto. Uderzająca jest nieznajomość szkoły przez młodych, także nieznajomość dziecka i funkcji, jakie wobec niego mają pełnić. Oświata otrzymuje specjalistów nie posiadających jednakże umiejętności nauczycielskich. Mówi się nawet o swego rodzaju analfabetyzmie pedagogicznym młodych ludzi z dyplomem.

Tak ostre sformułowania na wspomnianym posiedzeniu wprawdzie nie padły, niemniej wyrażane tam opinie zbliżone były z krytycznym osądem niektórych elementów koncepcji kształcenia przyjętej przed 10 laty. Koncepcji już dziś w pełni nie funkcjonującej, bo zmienianej decyzjami samorządnych od 2 lat uczelni wyższych.

Co z niej zostało? Co jest godne zachowania? Utrzymana została zasada jednolitości i jednokierunkowości studiów nauczycielskich. Będą one w dalszym ciągu prowadzone w WSP i na uniwersytetach, jednak w tych ostatnich bez obowiązku wprowadzania specjalności nauczycielskiej od pierwszego roku.

Zerwano natomiast w praktyce z zasadą czteroletniego kształcenia, studia nauczycielskie przedłużone zostały do lat 5. Zerwano w uczelniach z zasadą centralnego opracowywania planów studiów; niestety, ofiarą szlachetnej demokracji życia padły przedmioty psychologiczno-pedagogiczne. W wielu szkołach wyższych, także w WSP, okrojono program tych przedmiotów do 300 godzin lub poniżej tej liczby (dawniej 450—500 godzin), w niektórych samorządność doprowadziła do całkowitego wyeliminowania kształcenia pedagogicznego. Decyzje te zapadły w uczelniach wyższych bez jakiegokolwiek konsultacji z oświatą, z potrzebami szkolnictwa. W rezultacie musiał wkroczyć resort i narzucić (w 1982 r.) uczelniom obligatoryjnie ten blok przedmiotów w wymiarze 300 godzin plus 8—10 tygodni praktyk.

Oczywiście, te zabiegi nie wyeliminowały niedostatków w kształceniu przysposabiającym do pracy nauczycielskiej. W dalszym ciągu przygotowanie to oceniane jest przez środowisko oświaty jako skromne, niewystarczające.

Wszyscy bez wyjątku — i środowiska uczelniane, i oświatowe — opowiadają się za utrzymaniem jednolitych studiów magisterskich i to wbrew trudnościom kadrowym oświaty oraz propozycjom ewentualnego zniesienia lotów. Niektórzy sądzą bowiem, iż należy zająć się kształceniem dla bieżących potrzeb, skoro zatrudniamy osoby bez kwalifikacji. To jednak nie zyskało aprobaty ani w ocenie zespołu roboczego, ani w dyskusji. Powszechnie akceptowany jest też 5-letni okres studiów jak i odejście na pierwszym roku od podziału na kierunki nauczycielskie i nienauczycielskie (w uniwersytetach).

Istnieje jednak wiele istotnych rozbieżności w ocenie kształcenia nauczycieli. Jakich sfer one dotyczą? Wspomnę o najważniejszych.

Pierwsza kwestia sporna to przygotowanie nauczyciela do pracy z dzieckiem, a

nie tylko specjalisty przedmiotowego. Zdaniem wielu — głównie środowisk oświatowych, nauczycieli praktyków — student już w uczelni powinien zdobyć wiedzę psychologiczną, pedagogiczną i praktyczną — bez tego nie będziemy mieli dobrego nauczyciela. Resort oświaty proponuje w związku z tym dla tych przedmiotów 450—500 godzin plus praktyki pedagogiczne. Resort nauki obstaje przy dotychczasowych ustaleniach — 300 godzin i praktyki. Rozbieżne są też opinie co do czasu trwania praktyk. — Jedni mówią o 10 inni o 20 tygodniach. Ciekawa i godna upowszechnienia wydaje się tu propozycja WSP w Krakowie, która mówi o 10-tygodniowej praktyce ciągłej oraz jednym dniem pracy w tygodniu w szkole przez dwa semestry.

Ale na tym sprawa się nie kończy. Rzecz przecież nie w liczbie godzin, lecz ich wartości, a ściślej — w metodzie, w uczelnianym sposobie podejścia do kształcenia nauczyciela. Więc nie czas, nie liczba godzin, lecz jakość tego kształcenia powinna stać się przedmiotem głębszych analiz i dociekań, przede wszystkim w uczelniach wyższych. Trafnie wyrażili to na posiedzeniu kierownictw obu resortów niektórzy dyskutanci. Kilka fragmentów wypowiedzi godzi się zacytować.

Dr WŁADYSŁAW FIGARSKI — kurator oświaty i wychowania w Kielcach: „Młody człowiek staje się nauczycielem nie z racji posiadania dyplomu, proces ten powinien zaczynać się wcześniej. Stawianie się nauczycielem — bo o to przecież chodzi — zależy w gruncie rzeczy od tego, czy szkoła wyższa świadomie kształtuje takie postawy. Z moich doświadczeń wynika, że sposób sterowania tym procesem w uczelniach jest dość przypadkowy. A wszelką dowolność w kształceniu jest — jak wiadomo — groźna dla zawodu nauczycielskiego. Jesteśmy świadomi ucieczek uczelni od przedmiotów przysposabiających do zawodu, do pracy z dzieckiem. Tej sprawy nie wolno pozostawiać własnemu biegowi. Nie można kształcić nauczyciela bez stawiania sobie pytań, do jakich ról, zadań chce się go przygotować, kim on ma być? Jest to zawód wymagający bardzo konkretnych umiejętności, po-nyki zbyt dużo tu kosztują”.

EDWARD KRYŃSKI — kurator oświaty i wychowania w Białymstoku: „Z moich obserwacji wynika, że najsłabszą stroną w pracy młodych nauczycieli jest ich niedostateczne przygotowanie psychologiczno-pedagogiczne i praktyczne. Proponuję przyjąć w kształceniu projekt resortu oświaty. Przedłużenie studiów do lat 5 daje szanse pełnego uwzględnienia bloku przedmiotów pedagogicznych”.

Prof. dr hab. ZENON MOSZNER — rektor WSP Kraków: „Słuszną jest zasadą jednolitości studiów nauczycielskich. Nie zawsze jednak pod pojęcie jednolitości podkłada się właściwą treść. Jednolitość to nie wspólne programy, jednakowy wymiar godzin itp., lecz przede wszystkim treści i poziom kształcenia, także w zakresie przedmiotów pedagogicznych. Dlatego tak ważny jest problem należytego honorowania tych właśnie przedmiotów w procesie edukacji nauczycielskiej. Na właściwe kształcenie składa się układ treści (także innych przedmiotów), poziom kadry itp. Zatem, przygotowanie wychowawcy, pedagoga to nie tylko kwestia przedmiotów pedagogicznych, to sprawa innego spożytkowania tych przedmiotów.

Prof. dr hab. JÓZEF SZYMAŃSKI — rektor UM CS Lublin: „Liczba godzin nie jest najistotniejsza, a o to zawsze trwają spory. Problem w tym, jaki jest poziom przedmiotów psychologiczno-pedagogicznych w uczelni. Mamy, niestety, słabą kadrę, stąd często niska ranga tego kierunku edukacji. Sądzę, że udrowienie problemu leży w kadrze. Należałoby też przemyśleć kwestie programowe, to także budzi wiele zastrzeżeń. Słowem — musimy kształcić lepiej, inaczej, na wyższym poziomie, troszczyć się o jakość nie ilość godzin”.

Doc. dr hab. JÓZEF LIPIEC — rektor WSP Rzeszów: „Należałoby sobie uświa-

domić rzecz podstawową: że uczelnie wyższe są odpowiedzialne za stan i poziom kadry nauczycielskiej. Jest to poważny problem społeczny, a nie tylko sprawa samych uczelni. Wydaje się, że na przygotowanie nauczycieli w uczelni wyższej należy spojrzeć szerzej, nie tylko przez pryzmat przedmiotów pedagogicznych. Moim zdaniem, należy rozbudować blok przedmiotów społeczno-politycznych, bo taka wiedza jest potrzebna nauczycielom w kontaktach z młodzieżą”.

Doc. dr EDMUND STASZYŃSKI — IKN: „Najlepszym rozwiązaniem byłoby, aby sam nauczyciel akademicki był dobrym dydaktykiem i wychowawcą. Tymczasem poza wyjątkami uczelnie nie są przygotowane kadrowo do pracy ze studentem, przyszłym nauczycielem. Dlatego wskazane wydaje się określenie obowiązującego pensum godzin dla przedmiotów pedagogicznych. Sztuki bycia nauczycielem trzeba się uczyć i to nie metodą prób i błędów. Eksperyment na dzieciach jest niedopuszczalny, uczelnie wyższe tę świadomość mieć powinny zawsze, gdy mówi się o zawodowym przygotowaniu nauczyciela. Uczelnie, jak mi wiadomo, tego pojęcia „kształcenie zawodowe” nie lubią i stąd ucieczka od przedmiotów pedagogicznych”.

Przygotowanie nauczyciela to także praktyki w szkole; w tej kwestii wszyscy są zgodni co do tego, iż związki kształcenia teoretycznego z praktyką powinny być silniejsze, barwne, autentyczne. Nie chcę wymienić wielu niedostatków istniejących w tym układzie, ograniczę się tylko do uwagi, że na wspomnianym posiedzeniu prezydium kolegiów uznano potrzebę usprawnienia praktyk pedagogicznych. Propozycja Krakowa jest do przyjęcia. Należy jednak usunąć liczne jeszcze bariery organizacyjne (a może inne?), które hamują sprawne organizowanie praktyk w szkołach. Uczelniom potrzebne są szkoły ćwiczeń z prawdziwego zdarzenia. Minister Bolesław Faron zapewnił, iż oświata otworzy szeroko drzwi szkół dla praktyk pedagogicznych, są po temu warunki, aby to rozwiązać pomyślnie. Przykłady z życia świadczą, że nie są to słowa bez pokrycia. Bo jeśli np. bydgoska WSP może dobrze organizować praktyki w 16 szkołach ćwiczeń, to dlatego nie mogłoby się to sprawdzić gdzie indziej? Niemniej, nie jest całkiem bezpodstawny wniosek o zrewidowanie dotychczasowych przepisów, ustaleń nowych, jednoznacznych zasad współpracy uczelni wyższych i szkół, uregulowanie kwestii rekompensat dla opiekunów, nauczycieli itp. Chodzi o to, aby instytucja praktyk nie bazowała li tylko na dobrej woli obu stron.

Inna kwestia sporna, która podjęto również na tym posiedzeniu, to jednokierunkowość studiów nauczycielskich. Zdania są podzielone. Środowisko naukowe, zatroskane o poziom kształcenia, obstaje przy jednokierunkowym systemie. Praktyka oświatowa zaś, przede wszystkim sytuacja szkół na wsi, przemawia na korzyść kształcenia dwukierunkowego. Oczywiście, nie wszystkich, ale już w takich przedmiotach jak chemia, geografia czy biologia — nie sposób zapewnić specjalistom pełnego efektu; w rezultacie są oni zmuszeni uczyć drugiego przedmiotu bez żadnego doświadczenia. Jak wybrnąć z tej sytuacji, aby obie strony były usatysfakcjonowane — oto jedno z pytań, na które nie ma jednoznacznej odpowiedzi.

Propozycje rozwiązań są różne, zaprezentowane je również w czasie wspomnianej debaty. Część środowisk opowiada się za stworzeniem fakultatywnych możliwości zdobywania uprawnień do nauczania drugiego przedmiotu, takie jest stanowisko zespołu roboczego. Wielu uważa, iż należy eksperymentalnie wprowadzić w niektórych uczelniach studia dwukierunkowe. Rozwiązania powinna podpowiadać praktyka szkolna, zaś resort oświaty dokładnie sprecyzować, jakie są potrzeby szkół w tym zakresie. Są też zdania, że tzw. dodatkowe kwalifikacje nauczycieli mogłby zdobywać w trakcie studiów podyplomowych; wów-



ŚWIAT

DUŻO ZNAKÓW ZAPYTANIA

Im bliższy jest termin wyborów w RFN, tym bardziej wzrasta nie tylko napięcie i nasila się walka polityczna, ale pojawia się coraz więcej niewiadomych co do rezultatów wyborów. Nie da się ukryć, że przyczynił się do tego również układ sił w rządzącej koalicji, który — jak pisał z nieukrywającą złośliwością hamburski tygodnik „Stern” — niewiele odbiega od sytuacji sprzed upadku socjaloliberalnej koalicji.

Jaki jest bilans niespełnionych obietnic rządów CDU/CSU/FDP? Rzuca się w oczy zwrot w prawo zarówno w kwestiach wewnętrznych, jak i zagranicznych. RFN przyjęła kurs zbliżający ją

bardzo do Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii. Jest to widoczne głównie w dwóch punktach: dość daleko posuniętego obcinania środków na cele społeczne oraz zdecydowanego poparcia przez Helmuta Kohla forsowanego nadal przez prezydenta Reagana „opcji zerowej” (w przypadku jej odrzucenia przez ZSRF — na terenie RFN instalowano by w końcu 1983 r. rakiety „Pershing II” i pociski samosterujące „Cruise”).

W tym samym czasie nastąpiło w SPD przegrupowanie sił. Helmut Schmidt zrezygnował z kandydowania na kanclerza, jego następcą jest Hans-Jochen Vogel, nie będzie kandydować Herbert Wehner, który przez wiele lat był członkiem „triumwiratu” SPD i szefem jej frakcji parlamentarnej. Na placu boju pozostaje więc Willy Brandt — nadal pełniący stanowisko przewodniczącego SPD — oraz w dużym stopniu odmiłdzone kierownictwo partii. Czy to wystarczy, by wygrać wybory?

Nowy kandydat na kanclerza, Vogel, prezentuje — przynajmniej na zewnątrz — optymizm i wiarę, że SPD znów „złapała wiatr w żagle”. Podobne stanowisko lansuje Willy Brandt, który podkreśla zwłaszcza wyborczy sukces w Hamburgu. Nie wszyscy się z tą opinią zgadzają, inną rzeczą jest zwycięstwo w wyborach w takim landzie jak Hamburg, będącym SPD-owską twierdzą, a czym innym w wyborach federalnych.

Na wybory w Hamburgu w dużym stopniu rzutowała „zdrada” Hansa Dietricha Genschera, był to niewątpliwie szok przynajmniej dla części społeczeństwa RFN. Nie można zapominać jednak, że kurs w prawo SPD od dłuższego czasu przyjmowała pod wodzą Helmuta Schmidta. Przypomnijmy tu, że on właśnie był kiedyś rzecznikiem wprowadzenia amerykańskich broni neutronowych do Europy Zachod-

niej, a później jednym z inicjatorów tzw. podwójnej decyzji NATO, efektem której ma być instalacja „eurorakiet”. Rząd Schmidta-Genschera przejawiał równocześnie pewną elastyczność w kwestiach polityki wobec krajów socjalistycznych. SPD/FDP doprowadziły też do zawarcia tzw. układów wschodnich z ZSRF, Polską i innymi krajami socjalistycznymi, a także uczestniczyły w podpisaniu Aktu Końcowego KEWE.

Pod tym względem różni się obecna koalicja. Nie można bowiem jako „przejrzystością” traktować wypowiedzi Friedricha Zimmermanna, choć miało ono przede wszystkim dostarczyć pewnej ilości głosów. Włączenie tej kwestii do programu wyborczego CDU nie może być równie traktowane jako zagadnienie wewnątrzpartyjne. W przypadku wygrania wyborów — a tego nie można wykluczyć — należałoby postawić wielki znak zapytania nad sprawą wiarygodności RFN jako państwa, respektującego obowiązujące w Europie realia.

A te są chyba dość powszechnie znane. Przypomnijmy jednak może, jakiemu to trendowi podlegają granice Niemiec w XX wieku i jaki porządek wprowadzono na ziemiach niemieckich po przegranej przez Trzecią Rzeszę wojnie. Teheran, Jalta i Poczdam to pewne etapy budowania podstaw bezpieczeństwa europejskiego. A w Poczdamie wcale nie mówiono — jak to się czasem usiłuje twierdzić — o przyszłej konferencji pokojowej; nikt z ówczesnej koalicji nie przewidywał w 1945 r. zmiany granic, czy ponownego ich ustalenia, bardziej liczone się z koniecznością pokojowej odbudowy zniszczonej Europy. Nie ma więc ani „sprawy niemieckiej” — bo są dwa państwa niemieckie — ani tym bardziej sprawy granic, jest tylko problem pokoju. Kto go podważa, musi sobie

dobrze zdać sprawę z twardej rzeczywistości i układu sił nad rzeką Labą.

Co można więc powiedzieć o obecnej koalicji? Sprawa wypowiedzi Zimmermanna jest jednym z elementów walki wyborczej, jaka się toczy między Kohlem, Straussem a Genscherem. Kanclerz chciałby utrzymania obecnej koalicji, byłby w lepszej pozycji zarówno wobec Straussa, jak i Genschera. Jak dotąd Kohl nie zaprezentował się jako polityk wielkiego wymiaru.

Natomiast Strauss, który występował zawsze nieszykownie bojowo, obecnie stał się powściągliwy, starając się kłaść nacisk na potrzebę zwycięstwa partii chadeckich i uzyskanie przez nie ponad 50 proc. głosów. Robi wszystko, by doprowadzić do tego, ostrożnie lawirując raz udebielając poparcia Zimmermanna, a raz mówiąc o „iluzoryczności opcji zerowej”. W obu przypadkach są to strzały w Kohla i Genschera.

Najbliższą pozycję przed wyborami ma niewątpliwie Genscher. Nie ma on więc nic do stracenia, zwłaszcza że w ofensywie są Zieloni. Powtórzenie wyników z wyborów do dwóch landtagów równa się praktycznie wyeliminowaniu FDP z Bundestagu. Trudno więc sądzić, by obecnie przydał się wyciągnięty z naktaliny stary slogan wyborczy: „kto głosuje na Genschera nie wybiera Straussa”.

Nie sposób więc przewidzieć wyników wybo-

GDZIE CI MĘŻCZYŹNI...

Red.: Osiem lat minęło od opublikowania przez Pana rozprawki na interesujący nas temat. Wówczas w zawodzie pracowało ponad 73 procent kobiet. Ich liczba ciągle rosła. Jak jest dzisiaj?

T.M.: Dziś już 78,7 procent wszystkich zatrudnionych stanowią kobiety.

— Analizując ten babski problem, dokonał Pan wszelkich możliwych podziałów: ze względu na typy szkół i formy zatrudnienia, różnice w układzie terytorialnym. Czy sygnalizowane wtedy zjawiska uległy jakimś znacznym przeobrażeniom?

— Z pewnością nie. Choć nie dysponuję dziś tak szczegółowymi danymi, jak w owym czasie, to bez obawy o pomyłkę stwierdzić mogę, że te tendencje tylko się pogłębiły.

— Przypatrzmy się zatem, jak proporcje między zatrudnionymi kobietami i mężczyznami kształtują się w różnych typach szkół.

— Z danych „Ewikan” z 1980 r. wynika, że w przedszkolach pań mamy 99,3 proc. I tu ciekawostka. W 1973 r. na statusie wychowawczyni przedszkolnej było 107 panów. Ostatnia statystyka wykazała wzrost zainteresowania mężczyzn tą specjalnością. Jest ich dziś 592.

— I cóż oni tam robią?

— No właśnie...? Problem ten był kiedyś poważnie rozważany w ministerstwie oświaty. Bo oto w Szczecinie chłopiec zgłosił się do liceum wychowawczyni przedszkoli. Dyrektorka poprosiła kuratorium o decyzję, kurator zalecił namówić chłopca do wyboru innej szkoły. Nie pomogło. Sprawa trafiła do ministra Tułodzieckiego. Zapanowała konsternacja. Po konsultacjach i naradach zdecydowano skierować chłopca do dowolnej innej szkoły bez egzaminu wstępnego. Zgodził się być kucharzem okrętowym. Od tej pory nie słyszałem o takim przypadku i trudno mi dociec, skąd wzięło się tych 592 mężczyzn na stanowiskach nauczycielek przedszkoli, ani co oni tam robią. Na marginesie, rodzi się tu problem natury prawnej — zmiany nazwy instytucji „nauczycielka przedszkola” na rodzaj męski, którego to przypadku Karta Nauczyciela nie przewidywała...

— Gdzie, oprócz przedszkoli jest najwięcej kobiet i w jakich grupach przedmiotów?

— W szkolnictwie podstawowym — 83,6 proc., w liceach ogólnokształcących — 70 proc. W szkolnictwie zawodowym ubytek mężczyzn jest duży. W 1973r. było ich o 10 proc. więcej niż obecnie. Kobiety stanowią tam teraz 54,8 proc. ogółu nauczycieli. Równie wysoki spadek liczby mężczyzn nastąpił wśród nauczycieli niepełnozatrudnionych. Te dwa ostatnie zjawiska wiążą się z faktem przyjmowania przez resort oświaty szkół zawodowych w połowie lat 70-tych i zubożenia ich bazy materialnej oraz ze wzrostem rygoryzmu programowego. Nauczyciele niepełnozatrudnieni, wśród których dominowali mężczyźni, byli w tym czasie ostro krytykowani za niską dyspozycyjność w oświacie... i odeszli. Wzrósł zjawisko tzw. etatyzacji pracy, w czym bardziej zainteresowane są kobiety.

Jeśli chodzi o specjalności — 95 proc. kobiet mamy w klasach początkowych, ponad 90 proc. — uczy filologii polskiej i rosyjskiej, ponad 80 proc. — biologii i chemii. Poza przedmiotami zawodowymi, a zwłaszcza praktyczną nauką zawodu, gdzie jeszcze dominują mężczyźni, najmniej kobiet uczy historii i fizyki.

— Mężczyźni traktują zawód nauczycielski jako coś dodatkowego, pracę w szkole jako szansę dorobienia paru złotych do zasadniczej pensji. Wciąż nie jest dla nich atrakcyjny w sensie utrzymania rodziny...

— Przypomnijmy stare prawdy — feminizacja związana jest ze stopniem zurbani-zowania społeczeństwa. Im niższy poziom industrializacji, tym więcej jest mężczyzn wśród nauczycieli. W nowoczesnych społeczeństwach jest to zawód żeński, ale trzeba przyjąć jakąś minimalną barierę rekrutacyjną na studia, żeby wprowadzić część mężczyzn do pewnego typu szkół. W opinie wychowawczej, w internatach, szkołach specjalnych jest to nieodzowne. Jeśli na pedagogice specjalnej studiują same dziewczęta, to już jest dramat. Trochę więcej mężczyzn jest na resocjalizacji uniwersyteckiej, ale ci z kolei nie orientują się na zawód nauczycielski, lecz na pracę w milicji, w zakładach penitencjarnych. Proces feminizacji zawodu nauczyciela jest zjawiskiem dość złożonym o charakterze ogólnokulturowym. Ostro zaznaczają się już różnice w podziale na miasto i wieś, stopień uprzemysłowienia regionów, formy zatrudnienia: elastyczność i etatyzacja...

— Jaka jest sytuacja na uczelniach pedagogicznych — od lat są one bardzo kobiece...

— No, i ciągle odsetek studiujących dziewcząt rośnie. Ostatni okres spowodował wzrost zainteresowania uczelniami tego typu oraz kierunkami nauczycielskimi na uniwersytetach. Liczba kandydatów na te kierunki znacząco wzrosła, ale w odsetkach nie wzrosła liczba chłopców.

— Zainteresowanie nieco koniunkturalne, związane z zaburzeniami na rynku pracy, na którym spore grupy inżynierów, prawników, ekonomistów nie znajdują zatrudnienia...

— Chyba tak. Ogólnie odczuwane jest, że rynek pracy bardzo się skurczył w grupach inteligencji wysoko wykwalifikowanej, w tym nawet w środowisku naukowym. Z tego punktu widzenia bardzo ciekawe rozwiązania zaproponował Wrocław i Zielona Góra. Politechnika Wrocławska zwróciła się do ministra nauki o otwarcie studium pedagogicznego dla inżynierów już pracujących w przemyśle oraz dla studentów. Okazało się, że liczba chętnych jest duża. W Zielonogórskim zarejestrowano osoby wysoko wykwalifikowane zatrudnione w różnych zawodach, które chciałyby po pewnym pedagogicznym przeszkoleniu podjąć pracę zarówno dodatkową, jak i pełnowymiarową w szkolnictwie. I znowu byli chętni wśród prawników, techników, w tym sporo mężczyzn.

— Już teraz wśród osób traktujących szkołę jako drugie miejsce pracy jest wielu szczerze zainteresowanych pracą pedagogiczną, utalentowanych. Częściowe zatrudnienie nauczycieli dochodzących jest chyba szansą także na „od-babienie” szkół?

— Oczywiście, praca ta daje wielu wewnętrzną satysfakcję. Znam inżynierów, dla których te kilka godzin w tygodniu wśród młodzieży jest prawdziwym sposobem na życie, pasją, możliwością autentycznej samorealizacji. Widzą to uczniowie, stąd wspaniałe między nimi kontakty. Ale istnieją ściśle sprzężenia warunków materialnych z zainteresowaniami części osób mających potencjalne predyspozycje do pracy z młodzieżą. W ogóle na szkołę trzeba patrzeć szerzej, starać się o bogatsze w niej życie, więcej tego wszystkiego, co jest w życiu poza samą szkołą. To „coś” wniesie w jej mury mogą właśnie ci na „przychodnie”.

— Zjawisko feminizacji jest podobnie odczuwane w innych krajach. Jak radzą sobie z tym właśnie gdzie indziej?

— W wielu krajach występuje większa elastyczność zatrudnienia, szkoły nie są tak ściśle izolowane od środowiska. Ponadto np. w ZSRR w szkolnictwie średnim przygotowuje się pod okiem doświadczonych pedagogów część młodzieży do wyboru zawodu nauczycielskiego i zapewnia im się studia. W czasie służby wojskowej młodzi żołnierze, którzy przejawiają zainteresowania pedagogiczne są specjalnie przygotowywani i przyjmowani na studia bez egzaminów. Mają wysokie stypendia i jeden tylko warunek — co najmniej 3 lata pracy we wskazanej szkole po studiach. W Japonii sprawa jest inaczej rozwiązywana, gdyż zawód nauczyciela nie jest „zamknięty”, lecz daje szansę zdobywania ciągle nowych stopni kwalifikacji i przechodzenia do innych zawodów np. do nauki, ale nie tylko. I to powoduje zainteresowanie mężczyzn tym zawodem, jako etapem życiowej kariery.

— Na temat negatywnych skutków feminizacji nauczycielskiego stanu wypowiedziano już tak wiele słów. I ciągle kończy się na słowach.

— Musi istnieć pewna różnorodność sylwetek nauczycielskich, różnorodność postępowania pedagogicznego. Brak wśród nich mężczyzn to już jest pewna jednostronność. Nie wszystkie nauczycielki chcą i potrafią wchodzić w rolę męską, męski sposób bycia, reagowania na zjawiska. W szkołach zdarzają się paradoksalne sytuacje, gdy jest jeden mężczyzna w zespole, a trzeba samodzielnie wybrać dyrektora, panie wybierają właśnie jego...

— Niezależnie od jego kwalifikacji, zdolności do kierowania itd.?

— Niestety, często bywa właśnie tak, że ten jedyny „rodzynek” nie nadaje się absolutnie na dyrektora, że któraś z pań wypełniałaby tę funkcję lepiej, ale ona właśnie nie chce. Wszystko gra, gdy taki „on” ma koleżanki, które potrafią i chcą nim dyskretnie kierować, inspirować, tak podpowiadać, by sądził, że to właśnie on jest twórcą. Wiele potencjalnych pań dyrektorek woli pracę dydaktyczną od „funkcji”, nie chcą mieć tej biurokracji, walczenia o wszystko z różnymi ośrodkami wpływu, instytucjami lokalnymi i ponadlokalnymi.

— Co nie oznacza chyba, że są mniej ambitne?

— Nie, ale ambicja kobiet częściej niż u mężczyzn kierowana jest na sukces pedagogiczny niż na sukces awansu pionowego w administracji. Jeśli do wszystkich zadań dydaktycznych i wychowawczych w szkole, zadania prowadzenia własnego domu (co w dzisiejszych warunkach jest sztuką nieomal magiczną), dorzuć jeszcze kobiecie rolę zwierzcznika, często jest to ponad jej siły. Co by o tym nie mówić, mężczyźni są w trochę lepszej sytuacji, są odciążeni choćby tylko o te obowiązki domowe... Jest swoistym paradoksem, że w tak sfeminizowanym zawodzie na stanowiskach kierowniczych kobiet się prawie nie spotyka.



Fot. Cz. Górski

— Pomówmy o problemie aktualnym i bolesnym zarazem, o sytuacji młodych nauczycielek na wsi. Przychodzi młoda, ambitna, ma pełno planów, chęci do pracy i przedstawienia świata. No, i po pewnym czasie zaczyna stać się do środowiskiem wiejskim...

— Najpierw jednak ze środowiskiem nauczycielskim. Jeżeli w zespole jest sporo młodych i ambitnych, one potrafią nadać szkole własny ton i zmienić nie najlepsze czasem tradycje i obyczaje. Ale na ogół bywa tak, że przychodzi jedna, dwie i wchodzi w zespoły, gdzie funkcjonuje średnia myślenia o uczniu, o warunkach życia, o sprawach codziennych, więc i one po trochu się przyzwyczajają i starają się nie wyróżniać, równają do średniej.

— Nie chce im się z taką „średnią” walczyć?

— Bardzo szybko są sprowadzane na ziemię. Trzeba pamiętać, że większość ma bardzo duże trudności na początku swojej pracy, uczą przedmiotów, do których nie są przygotowane, mają słabe przygotowanie metodyczne, muszą ogromnie dużo pracować nad sobą, żeby w ogóle uczyć. No i zanika gdzieś ambicja wyróżniania się. Tu największą rolę odgrywa atmosfera panująca w samym zespole nauczycielskim, od którego muszą otrzymać pierwszą pomoc. Ich identyfikowanie się z tym zespołem jest najważniejsze i odbywa się na ogół kosztem obniżenia ambicji zawodowych. Odwrotnie jest w liceach ogólnokształcących, szkołach z tradycjami, gdzie nauczycielka ukierunkowywana jest na to, co potrafi najlepiej i to tylko doskonali, jest stale „ciągnięta” w górę przez swój zespół, jej ambicje rosną.

— Idąc śladem Pańskich rozważań sprzed lat, zajmijmy się stanem cywilnym nauczycieli. Pisał Pan wtedy: „... Nowe roczniki nauczycielek, posiadających już pełne wykształcenie wyższe, będą miały wskutek tego tzw. zaniżoną zdolność zamążpójścia (...). Wykształcenie powoduje wzrost wymagań wobec partnera, a środowisko, w którym wypada działać nauczyciele, nie zawsze może sprostać takim wymaganiom”. Te niewesołe przewidywania chyba się sprawdziły?

— Proces sygnalizowany w ubiegłej dekadzie teraz jeszcze się pogłębił. Odsetek nauczycieli samotnych wynosi 24,3 proc. ogółu, ale w niektórych typach szkół i regionach sięga ponad 30 proc. To jest już stan alarmowy. Jest to wskaźnik dwukrotnie wyższy od przeciętnej samotnych kobiet w kraju. Nauczycielki, będąc bardzo interesującymi kandydatkami na żony, mają jednocześnie istotnie obniżoną zdolność do zamążpójścia, która w pewnym sensie wiąże się z właściwością zawodu, pracy pedagogicznej. Po prostu pewne potrzeby kobiety, matki mają zaspokojone poprzez to właśnie, że są nauczycielkami. Przecież ta „nasza pani” ma kilkanaście czy kilkadziesiąt dzieci i ona je wszystkie traktować musi jak swoje, bo tylko wtedy jest przez nie lubiana. Ale też tak ją to wyeksploatowuje, że myślenie o własnych dzieciach często przeraża jej siły.

— Ale to, o czym do tej pory mówimy, to tylko jedna strona medalu, druga to niebagatelne kłopoty ze znalezieniem odpowiedniego kandydata na męża. W mieście to jeszcze pół biedy, ale na wsi? Na wsi chłopcy szukają żon do pracy w gospodarstwie, nie intelektualistek. Jak taka dziewczyna ma sobie ułożyć życie rodzinne, jeśli nie zdążyła wyjść za mąż na studiach?

— Wieś staje się coraz bogatsza. Ale dla młodej dziewczyny z wyższym wykształceniem pieniądź czy willa nie zawsze są odpowiednim argumentem, by związać z kimś swój los na dobre i złe. Coraz częściej partner na wspólnymałożonka, na rozmówcę, towarzysza spacerów musi dziewczynie dorównywać kulturowo, musi mieć trochę szerszy horyzont myślowy niż koniecznie własnego pola. No i takie dziewczyny są w najtrudniejszej sytuacji. Często wiążą się z koniecznością przemieszczenia się. Potrzebne jest więc to, czego właśnie na wsi nie ma — dobre, wygodne, służbowe mieszkania dla nauczycieli. Przepisanie człowieka w tak młodym wieku do jakiegoś konkretnego punktu na ziemi, bez rozstrzygnięcia przez niego ważnych problemów życiowych, jest swego rodzaju zniewoleniem. Oświata powinna dysponować takimi możliwościami, aby zmiana środowiska z różnych względów społecznych czy osobistych była możliwa.

— W pełni się z Panem zgadzam. Ta obawa dziewcząt przed „zakopaniem się” na wsi jest jedną z przyczyn kurczowego trzymania się przez nie miasta...

— I nie można im się dziwić. Jest to zgodne z typowym procesem przemierzania społecznego ze wsi do miast. Ruchliwość w odwrotnym kierunku ma charakter sporadyczny, dyktowany przejściowymi koniunkturami. A od nauczycieli wymaga się tego stale. No i teraz, czy sama wieś dorosła pod względem kulturowym, by takie młode, wykształcone panie mogły się tam dobrze czuć, ustabilizować swoje życie od początku? Myślę, że proces ten nie nastąpił, a niektóre zjawiska zbytniego materializowania wsi działają zniechęcająco na młodych, nie myślących li tylko kategoriami finansowymi.

— Zgoda, ale odwróćmy tę sytuację i zastanówmy się, co nauczyciel ma do zaoferowania środowisku, czy on sam chce się dla niego „otworzyć”, ma tu przecież ogromne pole do popisu...

— Cała sztuka polega na tym, aby dwoje chciało naraz. Na nauczycielkę nie można patrzeć wyłącznie jako na przedmiotowca, który ma się eksploatować na rzecz szkoły i środowiska, ale z drugiej strony jej bogata osobowość powinna być tą ofertą dla środowiska społecznego, dla dzieci przede wszystkim. Ona imponuje wiedzą w zakresie swego przedmiotu, możliwością rozwinięcia zainteresowań i pasji poznawczych uczniów, sposobem wypowiedzania się na różne tematy, orientacją w wartościach kultury, czytaniem — to dystansuje wieś. Ale to może także zbliżać, jeśli będzie chciała się tym z nimi podzielić. Cały system rozwoju nauczycielki powinien być tak skonstruowany, by premiować ją za każdy zakres umiejętności niekoniecznie związanych z prowadzeniem przedmiotu. Ale i sama wieś, i zespół nauczycielski, do którego młoda osoba trafia, musi mieć skryształizowane potrzeby. Ona wówczas łatwiej się odnajdzie. Będzie bardziej wydajna w pracy, częściej uśmiechnięta, szczęśliwa...

— Do pełnego szczęścia potrzebny jest ten drugi... A z tym, jak już wspomnieliśmy, są na wsi niejaki problemy.

— Nauczycielki w miastach mają w większości mężów z wyższym wykształceniem. W mieście poza pracą nauczycielską jest względnie pełna jako człowiek, może łatwiej realizować swoje zainteresowania, ma towarzysztwo. Na wsi często jest sama... lub też wychodzi za mąż za pierwszego z brzegu, a potem się rozwodzi albo w ciuchoci czterech ścian własnego, tj. części mężowskiego, domu przeżywa swoją życiową tragedię związaną ze złym wyborem partnera.

— Czyli że jedynym ratunkiem dla wiejskiej oświaty jest małżeństwo nauczycielskie.

— To jest idealne rozwiązanie i nie można liczyć na wiele takich idealnych sytuacji, choć, oczywiście, trzeba szukać metod pozyskiwania chłopców do uczelni pedagogicznych. Najczęściej wychodzą stamtąd już żonaci. Powinno być sprawą uczelni, aby zadbać o takie małżeństwa w spe nauczycielskie w czasie studiów i szerzej — zadbać o przyszłe pełne, szczęśliwe życie swych wychowanków.

— Co można powiedzieć o małżeństwach między nauczycielami? Dużo dobrego, czy raczej mniej?

— To najlepsi pracownicy i bardzo szczęśliwi na ogół ludzie. Pracownicy — bo poza szkołą mają wspólne tematy, ciągle doskonalenie zawodowe w domu poprzez dyskusje, refleksje o uczniach, wspólne lektury, czas wolny. Zjawisko rozwodów jest tu niezwykle rzadkie. Małżeństwa nauczycielskie, które mają przecież wyjątkowo skromne warunki materialne, są jednocześnie wyjątkowo trwałe...

— To także o czymś świadczy.

Rozmawiała:
HALINA SZYMCZAK

DZIEL I RZĄDZ

CD ZE STR. 1

cy wiosek: Grabowa, Pyr, Dąbrowki oraz do szkoły przy al. Niepodległości, reszta we własnym zakresie organizuje sobie dojazdy ogólnodostępnymi środkami lokomocji — do szkół zlokalizowanych w rejonach starego centrum dzielnicy.

I nie nie wskazuje na to, aby w najbliższych dwu latach można było ograniczyć peregrynację szkolną dzieci z tych osiedli. Wręcz przeciwnie: rozszerzy się ona o następne dwa tysiące dojeżdżających w 1983/84 i kolejne dwa w roku 1984/85. Łącznie trzeba będzie w ciągu dwu lat zapewnić linie autobusowe 6,5-tysięcznej rzeszy uczniów, no i znaleźć dla nich miejsca w placówkach pracujących dotąd względnie normalnie (w rejonach centralnych). A wiadomo, co to oznacza: uciążliwą dla wszystkich zainteresowanych stron i obniżającą poziom pracy dydaktyczno-wychowawczej — zmienność.

Sytuacja ta na pewno nie wpłynie na poprawę nastrojów, szczególnie wśród rodziców, głośno wyrażających na zebraniach swoje oburzenie, dlaczego za budowniczy balagan muszą ponosić konsekwencje wszyscy, tylko nie decydenci i usługni pacykarze osiedlowych krajobrazów bez szkół. Bogu ducha winni dyrektorzy „zmianowych” placówek, nauczyciele, pracownicy inspektoratu świecą oczyma, wyjaśniają, zbierają cięgi, bo chociaż to nie oni zawinili, ale są w zasięgu mówionego słowa, więc ludzie na nich dają upust nagromadzonej złości.

— Z jednej strony przekonujemy dyrektorów, nauczycieli szkół zagęszczanych, że muszą przejść na zmianowość, bo nie ma innego wyjścia i na dodatek przyjąć dowożonych na pierwszą zmianę, a swoje dzieci przesunąć na następną; z drugiej, uspokajając rozsierdzonych rodziców z nowych osiedli, którzy pytają, dlaczego ich dzieci muszą się tulać, żeby móc realizować obowiązek szkolny, a wiadomo, „szkoła powinna być na miejscu, bo po pierwsze, po drugie, po trzecie i dziesiąte” — zwraca się ze swoich kłopotów inspektor, Jan Kożuch. Rodzice dzieci, które dotąd uczęszczały się jak Bóg przykazał w godzinach ich pracy zawodowej, a teraz muszą cały porządek dnia odwracać, też psoczą. I tak jedzą niezgody żerując na skutkach istniejącego dotąd inwestycyjnego balaganu i zwykłej bezmyślności.

— Słowem — dziel i rządź, oświato, wszak jesteś za realizacją szkolnego obowiązku odpowiedzialna! Rodzic wcale nie musi o tym wiedzieć, że inwestorowi po prostu nie opłaci się odrywać od taśmowej produkcji mieszkalnych pudeł, że zanim postawi on budynek szkolny i trzy sypialne w tym czasie wznieść może. Rachunek prosty.

Rozliczać z kompleksowego wykonawstwa? Ależ tak, tylko że oświata nie jest władna, aby kogokolwiek rozliczać z partolonia osiedlowego budownictwa. Może co najwyżej w charakterze grzecznego petenta zgłaszać propozycje, wnioski, no i przy odbiorze szkolnego obiektu żądać usunięcia „usterek”, co notabene trwa nierzadko kilka lat — aż do pierwszego remontu.

W maju 1982 roku Wydział Oświaty i Wychowania Dzielnicowej Rady Narodowej na Mokotowie opracował szczegółowy raport o stanie oświaty w dzielnicy, kreśląc w nim wręcz katastrofalną, i niestety, rzeczywistą sytuację w nowych osiedlach mieszkaniowych Mokotowa. Przedstawił ten swój raport gdzie mógł u kompetentnych czynników, ale wiadomo, szkoła nie grzyb, po deszczu w ciągu nocy nie wzrośnie; ustalony cykl budowy obiektu trwa co najmniej trzy lata, a z poślizgiem... znamy te wielokrotności. Gdyby więc nawet dziś rzucono się do wznoszenia owych przybytków, to i tak efekty zrywu byłyby widoczne dopiero w 1986 roku. Zważywszy jednak kryzysową sytuację, nie sądzę, aby na jakiś wybuch oświatowego entuzjazmu budowniczych mogło się zanosić.

A swoją drogą wcale nie zazdroścę inspektorowi J. Kożuchowi koszmarnych widzeń, gdy zbyt często będzie się zapuszczał myślą do roku 1984/85 i oczyma wyobraźni oglądał ten 6,5-tysięczny, ustawiający się w kolejce do autobusów, pochód dzieci szkolnych z osiedlowego pasma Ursynów-Natołin. Po ja już teraz w kobiecej słabości odczułam drżenie pióra, chcąc uzupełnić malowany „lanszaft” o setki dzieci czekających tu na swoje miejsce w przedszkolu.

Na początku roku (I IX 82) było ich 8 tysięcy. Trzy przedszkola z inwestycji dysponują aż 360 miejscami. Próbuje się więc ratować sytuację przemieszczeniami zastępczymi, na przykład w lokalach mieszkalnych. Są one bez zaplecza żywieniowego. Dzięki różnym zabiegom wraz z zagęszczeniem przyjęto w sumie 1050 dzieci. Reszta? Czekaj. Jak długo będzie czekać? W większości, aż dorosnie do oddziału zerowego. Obecnie wypada trzydziścioro na jedno miejsce! Taki problem mógłby rozwiązać od ręki tylko Twardowski przy po-

mocy Mefista. A w świecie racjonalizmu po prostu trzeba co prędzej budować, nawet kosztem sypialni, aby zahamować potęgowanie się problemów, skoro już te osiedla na dziewiczym terenie powstały, skoro ścignęły do nich tysiące ludzi i w znacznym procencie nie ze stołecznej kolejki po jakieś tam „M”. Ale to oddzielna sprawa i nie w tym temacie miejsce na jej roztrząsanie.

TRUDNO ZNALEŹĆ OPIEKUNÓW

Podobna, no, może ciut lepsza, sytuacja jest w dzielnicy Wola. Jej mapę oświatową też zagmatwały nowe osiedla, wznoszone tak jak na Mokotowie, czyli z deficytem szkół i przedszkoli, chociaż planowane przecież na ogół dla małżeństw rozwojowych. Obecnie potrzeby-minimum wynoszą sześć szkół i siedem przedszkoli, do roku 1985 znacznie wzrosną, gdyż zwiększy się liczba mieszkańców, ciągle rozbudowywanych osiedli: Jelonki, Górczewska, Bemowo.

Wszystkie już istniejące w tych osiedlach placówki pracują obecnie na dwie lub dwie i pół zmiany. Mimo adaptowania do celów dydaktycznych trzech pomieszczeń w hotelu „Pionier” oraz lokali w budynkach mieszkalnych, problemu na miejscu nie dało się rozwiązać. Trzeba było się odwołać do formy dowożenia.

Gdzie się dowozi? Do szkół w „starej” części dzielnicy, które na skutek tego pracują obecnie na półtorę zmiany. Jak się dowozi? Za pomocą transportu własnego, dzierżawionego i jednej szkolnej linii MZK. Inaczej niż w innych, dotkniętych chorobą dowozu dzielnicach warszawskich, Wydział Oświaty na Woli dysponuje 7 autobusami, które obsługują 6 linii z pasma zachodniego do centrum dzielnicy.

Ryszard Fabijanowicz, dyrektor Domu Nauczyciela na Woli, który w godzinach przedpołudniowych pełni funkcję zarządzającego całym mechanizmem dowozu dzieci do szkół w dzielnicy, zdobył już sporo doświadczenia w rozwiązywaniu różnych kłopotów. Tylko z jednym nie bardzo może się uporać, i to od chwili wprowadzenia w życie zarządzenia ministra oświaty i wychowania z 26 stycznia 1982 roku w sprawie opieki wychowawczej nad uczniami dowożonymi do szkół.

W czym ono zawiniło? Przepis odnosi się do szkół gminnych, gdzie nauczyciele opiekunowie na ogół też dojeżdżają i w drodze czuwają nad bezpieczeństwem dzieci. Dla nich stawka 48 zł za godzinę stanowi taki ekstra dodatek. W mieście sytuacja wygląda nieco inaczej. Linii jest kilka, samochody kursują z częstotliwością 30—45 minut od godziny 7.00—16.00. Nauczycielom na ogół nie jest po drodze, mieszkają bowiem w różnych częściach miasta i ze szkolnych kursów nie korzystają. Poza tym oni prowadzą zajęcia dydaktyczne.

— Musimy więc zatrudnić dodatkowo 20 osób, aby organizacja opieki nie rwała się na strzępki — mówi dyr. Fabijanowicz. — No i właśnie ciągle brakuje nam chętnych do przyjęcia obowiązków na podstawie umowy-zlecenia według wymienionej stawki. Stąd bez przerwy rotacja i poszukiwa-



Kierowcy autobusów szkolnych na Żoliborzu: pierwszy od prawej Mieczysław Skrzypek, obok Marek Sawicki.

Zdjęcia: Cz. Górski



Trudno uwierzyć, że za ścianą okazałych budynków mieszkalnych nie ma szkoły dla tych dzieci.

nie następnych, którzy po zasmakowaniu jazdy już po mieście rezygnują.

Tak to życie płata figle przepisom. A może tak się dzieje, gdy przepisy nie pasują do życia? Bo jednak naturalne różnice między miastem a wsią istnieją. I żaden przepis ich nie zlikwiduje. Pewnie, że lepiej byłoby się nie przyznawać do istnienia miejskiego problemu dowozu dzieci do szkoły na tak wielką skalę, jak w stolicy. Ale to przecież nic nie zmieni. Wyrósł garb, trzeba się nauczyć żyć z garbem. I sformułować przepis, którego nie trzeba będzie omijać, aby znaleźć chętnych do stawienia się na przykład o godz. 6.30 na pasie startowym dawnego lotniska na Bemowie, bo właśnie o tej godzinie zaczynają się gromadzić w autobusie-poczekalni dzieci z nowego osiedla.

— Panie — mówią mi po miesiącu pracy opiekunowie — ja nie będę do tego interesu dopłacał — zwraca się ze „swoich” zmarłowień pan Fabijanowicz, powstarczając argumenty zleceniobiorców. Próbowali tu i ówdzie coś wyjaśnić, uzgodnić. Teraz przekonuje redaktora: — może wreszcie ktoś zainteresuje się sprawą i chociaż trochę ułatwi organizację dowozu dzieci pod stałą, rzeczywistą opieką.

Myślę, że nie stoi na przeszkodzie, aby dokładnie przeanalizować warunki pracy opiekunów i podjąć odpowiednie decyzje, może na szczeblu kuratorium. W końcu nie chodzi tu o jakieś wielkie sumy, a poza tym problem chyba nie stanie się trwałym elementem oświatowego krajobrazu stolicy, przynajmniej w odniesieniu do dzieci ze szkół podstawowych. Byłyby więc jakieś rozwiązania doraźne, czasowe.

Mimo że na Woli dowożenie dzieci funkcjonuje sprawnie, co zresztą potwierdziły opinie z zewnątrz, to jednak rozmawiający ze mną pracownicy Wydziału Oświaty nie ukrywali, iż jest to zło konieczne, że rodzice i dzieci wolą prymitywne warunki w pomieszczeniach zastępczych, adaptowanych, niż nawet „luksusową tulaćkę” poza osiedlem. Oczywiście, definitywnie mogą rozwiązać sprawę tylko inwestycje, ale w ich rozrzuśaniu oświata niewiele zdziałać może — powtarzają się argumenty. Chciałabym wierzyć, że zobowiązanie spółdzielni mieszkaniowych (o czym wspominałem podczas rozmowy w inspektoracie) do kompleksowego przekazywania wszystkich potrzebnych do normalnego życia budowli, nie będzie patykiem na wodzie pisane.

Póki co Komitet Środowiskowy Oświaty PZPR na Woli (działający na zasadzie KZ) wspólnie z Wydziałem Oświaty powołały specjalną komisję, która zajmuje się badaniem możliwości odzyskania budynków czy chociażby ich części, przekazanych przez oświatę zakładom pracy i Ministerstwu Kultury w okresie niżu demograficznego. Niewątpliwie odzyskanie owych zasobów lokalowych w jakimś stopniu złagodziłoby ostrość obecnie istniejących problemów szkolnych i przedszkolnych dzielnicy.

REFREN Z PRZYGRYWKĄ

Odwiedziłam także Wydział Oświaty na Żoliborzu. I tutaj bowiem rosną wzywy i wszęsz trzy nowe osiedla: Chomiczówka, Wawrzyszew, Marymont-Potok. Rzut oka na oświatową mapę dzielnicy z wyraźnie zaznaczonymi placówkami szkolnymi i przedszkolnymi od razu uświadamia, że ten rejon, na których w ostatnich latach budowniczej hossy wybujały dziesiątki wieżowców, świecą oświatowymi goliznami.

— Niech pani popatrzy na wzniesione w latach sześćdziesiątych osiedle Brzeziny: pięć szkół podstawowych, sześć przedszkoli i jedno liceum ogólnokształcące — objaśnia budownicze trendy inspektor Jan Kapuściak. I znów zaczyna się wyliczanie: co powinno być w jednym, drugim, trzecim osiedlu, co jest i że bez dowożenia, dzieci nie mogłyby realizować obowiązku, bo ostatecznie na trzy zmiany już pracować potrafią, ale na więcej sposobu, jak dotąd, nikt nie wymyślił! Wprawdzie w starej części dzielnicy jest 27 szkół podstawowych i niektóre z nich, na przykład nr 68, mają wolne miejsca, ale ich lokalizacja nie pasuje do nowych osiedli. Odległość nawet dwu, trzech kilometrów, przez wiele niebezpiecznych ulic i skrzyżowań to jednak nie na piesze wędrówki dziecięce. Dla-

tego jedynym wyjściem jest zorganizowanie dowożenia — z całym majdanem przeróżnych kłopotów. Ale gdzie ich nie ma i jakoś ludzie żyją — kończy swój wywód stoicką refleksją inspektor J. Kapuściak.

Czyli statystycznie rzecz biorąc, czyli dokonując kilku prostych manipulacji liczbowych, można wysnuć równie nieskomplikowany wniosek, iż w dzielnicy problem oświatowego budownictwa w zasadzie nie istnieje. Nie mogę oprzeć się przypuszczeniu, że między innymi właśnie tak obliczana średnia statystyczna dla Warszawy pozabawiała dzieci w nowych osiedlach wystarczającej liczby szkół i przedszkoli. Bo niby w dzielnicach szkoły są i szkół nie ma.

Ale ponoć nie ma tego złego, co by... Właśnie dzięki (tu to słowo jest na swoim miejscu) dowożeniu wykształcił się nowy typ przyjaciele dzieci. Jest nim kierowca szkolnego autobusu. No, na pewno nie każdy kierowca. Ale na przykład pan Mieczysław Skrzypek, znany kilku setkom żoliborskich dzieci, na takie miano bez cienia wątpliwości zasługuje. Mali pasażerowie i podopieczni nie bez powodu pieszczotliwie nazywają go wujkiem.

A inni? Pracownicy Wydziału Oświaty na Żoliborzu prześcigają się w pochwałach. Padają nazwiska kierowcy Marka Sawickiego, Krzysztofa Rupali, kierownika rejonu ruchu komunikacyjnego, „który osobiście, bardzo dokładnie sprawdza trasy dowożenia dzieci, aby przebiegał on sprawnie”. Może właśnie dzięki tej serdecznej współpracy z MZK łatwiej znosi się uciążliwość sytuacji, gdy brakuje szkół na osiedlu. Inna sprawa, że na Żoliborzu problem nie narasta tak dramatycznie, jak na Mokotowie, gdzie nowe osiedla już same w sobie tworzą duże, lecz kalekie organizmy miejskie.

Byłabym jednak niesprawiedliwa, gdybym tylko żoliborzanom przypisała słowa uznania pod adresem MZK wyrażone. To samo slyszalam na Mokotowie i Woli. Wszyscy bez wyjątku — myślę, że nie dla podlizania się kontrahentowi — zwracali uwagę na harmonijną współpracę, na gotowość MZK do wspierania wysiłków dzielnicowych wydziałów oświaty, którym spadły na głowy nie znane dawniej obowiązki. Wierzyć, nie wierzyć tej jednogłośnie adoracji? Ale chyba coś w tym jest, skoro kola autobusowe rozkręcają kola oświatowe i dzięki temu wszystkie dzieci z nowych osiedli realizują szkolny obowiązek.

★

Czy to oznacza regres ambicji, że cieszyć nas tworzenie warunków minimum? No cóż, czarowanie się faktu nie zmieni. I jeszcze długo na skutek zaniedbań w budownictwie oświatowym cieszyć nas będzie każdy, nawet najmniejszy dobry uczynek, który dokłada się do prostowania latami narosłych deformacji. Już wcześniej podkreślałam, że w sposób radykalny uwolnić od nich mogą tylko inwestycje oświatowe, i to od przedszkoli poczynając. Ale wiadomo, że zanim to nastąpi, trzeba rozważnie korzystać z tego, co jest, i na przykład nieżyłymi przepisami nie komplikować i tak już wystarczająco skomplikowanej sytuacji.

Dzielnicom obciążonym nowymi osiedlami mieszkalnymi potrzebna jest wszechstronna pomoc różnych instytucji miejskich w rozwiązywaniu trudnych problemów oświatowych, potrzebne też jest rozbudzenie społecznej inicjatywy mieszkańców tych osiedli. Ale jak to zrobić w roku 1983 i w latach następnych? Może na takie pytanie potrafiłaby odpowiedzieć społeczna śródowniskowa rada oświaty? Oczywiście, gdyby była i gdyby pracowali w niej ludzie ze społecznego powołania.

ZENOBIA MILLER

PS. O tym, co się w nowych osiedlach dla oświaty buduje i jak się buduje — w jednym z następnych numerów.

WŚRÓD SWOICH

W salce Kółka Historycznego im. Piotra Wysockiego w Szkole Podstawowej nr 1 w Laskowicach Olawskich tłoczno. Dorosli mieszkańcy ciasnym pierścieniem zajmują miejsca pod ścianami, pozostawiając jedynie trochę wolnego miejsca na środku — to dla „aktorów”. Teraz wszyscy w skupieniu oczekują na rozpoczęcie otwartej lekcji historii. Przyszli tu nie pierwszy raz. Dziś jednak jest lekcja szczególna: 120 rocznica Powstania Styczniowego.

MISTERIUM

Na dany znak wkracza do salki ze śpiewem zwarta grupa uczniów, niczym oddział powstańczy. Rozlegają się słowa inwokacji. Głosy uczniów przechodzą w fortissimo: „Wstań Polsko moja, uderz w czyn, nowe drogi ściełają się tobie...” Następnie chór dziewcząt śpiewa „Jak długo za Wawelu”. Klarnet gra melodię „Warszawianki”. Prolog dobiega końca. Na „scenie” pojawia się główny reżyser lekcji-przedstawienia, Maria Siebor. Jej głos przywołuje przeszłość: — Polski nie było na mapie Europy, ale Polacy — nawet rozproszeni po świecie — umieli pracować: projektowali mosty, uruchamiali kopalnie, budowali porty, dokonywali odkryć i wynalazków. Swoją pracą zdobyli uznanie, a nawet światową sławę...

I znów uczniowie. Inscenizują bajkę Krasickiego „Ptaszkę w klatce”, potem mała solistka śpiewa powstańczą piosenkę: „Byłaj dziewczę zdrowe, ojczyzna mnie woła...” Następnie chłopcy i dziewczęta przypominają w formie zwięzłego dialogu wydarzenia poprzedzające powstanie oraz jego przebieg; eksponuje się nie tyle chronologię wydarzeń, ile układ sił politycznych. Uzupełnienie i ilustrację wspomnianych spraw stanowią sylwetki dwu utalentowanych dowódców powstańczych: Zygmunta Padlewskiego i Józefa Haukego. Ich losy i osobowości poddane zostają uczniowskiej wíwísekcji.

W sposobie prezentowania obu bohaterów na pierwszy plan wysuwają się zdarzenia i czyny świadczące o głęboko patriotycznych postawach. Dwie sylwetki, dwie różne drogi do polskości: jedna prosta, niemal od kołyski przez rodziców wskazywana — to losy Padlewskiego; druga zygającym poprzecz rodzinna hańbą wiodąca — to dramat życia Haukego-Bosaka.

Zastanawiam się, dlaczego tamte dzieje dzieci przypominają poprzez wybrane osoby, ich postawy. Wykształcenie zdobywałem w całości już po wojnie, nie znam więc z autopsji metod stosowanych dawniej w wychowaniu przez historię. Z opowiadań wiem, że właśnie przybliżenie przeszłości odbywało się poprzez ukazanie ludzi. Dzięki temu — przekonywała mnie kiedyś stara nauczycielka — przeszłość nabiera żywych barw, a ponadto wzory osobowe...

No właśnie, żywe barwy i wzory osobowe. Przecież Józef Hauke, jako carski oficer, mógł zrobić świetną karierę w wojsku rosyjskim. Był nawet faworytem cara. Do 23 roku życia nie znał języka polskiego... Członkowie kółka historycznego starają się pokazać, jak wyglądała droga do Polski, do polskości człowieka całkowicie zrusyfikowanego, jak budziła się w nim polska dusza, aż do momentu, kiedy stać go było na słowa: „Muszę zmyć plamę na honorze rodziny” (to jego stryj Maurycy został zastrzelony przez podchorążych w

Noc Listopadową 1831 r.). I później, kiedy po otrzymaniu nominacji na carskiego pułkownika w 1862 roku, złożył podanie o dymisję. Losy powstańcze są już prostym następstwem tych decyzji, podobnie jak potem udział w wojnie francusko-pruskiej w 1870 roku. Jak walczył? Francuzi o nim mówili — przypominają uczniowie: „Gdybyśmy takich jak on mieli dziesięciu, Francja byłaby ocalona”. 21 stycznia 1871 roku generał Bosak padł pod Dijon. Pogrzeb odbył się w Genewie. Dzieci opisują uroczystości żałobne: „Za trumną okrytą biało-czerwonym sztandarem szli Francuzi, Włosi, Niemcy, Austriacy, Hiszpanie, Szwajcarzy — wszyscy z biało-czerwonymi kokardami na ramieniu. Rosjanie ubiegali się o zaszczyt niesienia trumny. Garibaldi nazwał Bosaka Leonidasem współczesnym”.

Pozwoliłem sobie na obszerniejsze potraktowanie części o Bosaku, bo sugestywny sposób reprezentowania sylwetki bohatera przekonał mnie, że stare, dobre metody przybliżania rzeczywistości przybliżają ludzi i zdarzenia, i wartości, które się nie starzeją. Przekonałem się o tym zaraz po zakończeniu lekcji, gdy odezwali się dorośli.

Każda wypowiedź to kolejna kreska do portretu laskowickiej nauczycielki, chociaż przecież o niej bezpośrednio nie mówią, lecz o swoich wrażeniach, przeżyciach, które wydobyło z pamięci przedstawienie — przez skojarzenia, analogie. Nic dziwnego, że otwarte lekcje Pani Marii zyskały miano narodowych rekolekcji lub patriotycznych misteriów. Bo takimi w rzeczywistości są.

Jan Borowiec — uczestnik ostatniej wojny — wszystko to, co tu usłyszał w 120 rocznicę Wielkiego Stycznia, odniósł do swoich żołnierskich losów i do własnej tragedii rodzinnej. Dzieli się teraz swoimi przeżyciami, wyszukując w nich analogii do „tamtych czasów”, do sylwetek bohaterów prezentowanych przez uczniów.

Pani Maria rozbudziła u laskowiczank potrzebę przeżywania spraw narodowych do tego stopnia, że sami przychodzą z propozycjami tematycznymi. Właśnie dr Halina Pantera z laskowickiego oddziału Instytutu Uprawy, Nawożenia i Gleboznawstwa, taką propozycję przekazuje. Chodzi o lekcję upamiętniającą 300 rocznicę odświecy wiedeńskiej. Na lekcję pani Siebor uczęszcza od kilku lat, zawsze ją wzruszając. Uważa, że właśnie tak, jak to czyni pani Siebor — w sposób żywy i otwarty na środowisko — nauczyciel historii może spełniać misję. Opowiada też, jak to „nasza nauczycielka” pamięta nie tylko o bohaterach narodowych, ale także o zwykłych ludziach, którzy swoją mrówczą pracą budowali w Laskowicach Polskę na nowo. Odwiedza razem z dziećmi ich domy, robi wywiady, zbiera dokumenty, zdjęcia. Halina Pantera doskonale orientuje się w warsztacie pracy nauczycielki, ponieważ należy do szkolnego kółka historycznego jej córka. Dziś takich nauczycieli jak pani Siebor coraz mniej — puentuje swoje uznanie dla pedagoga.

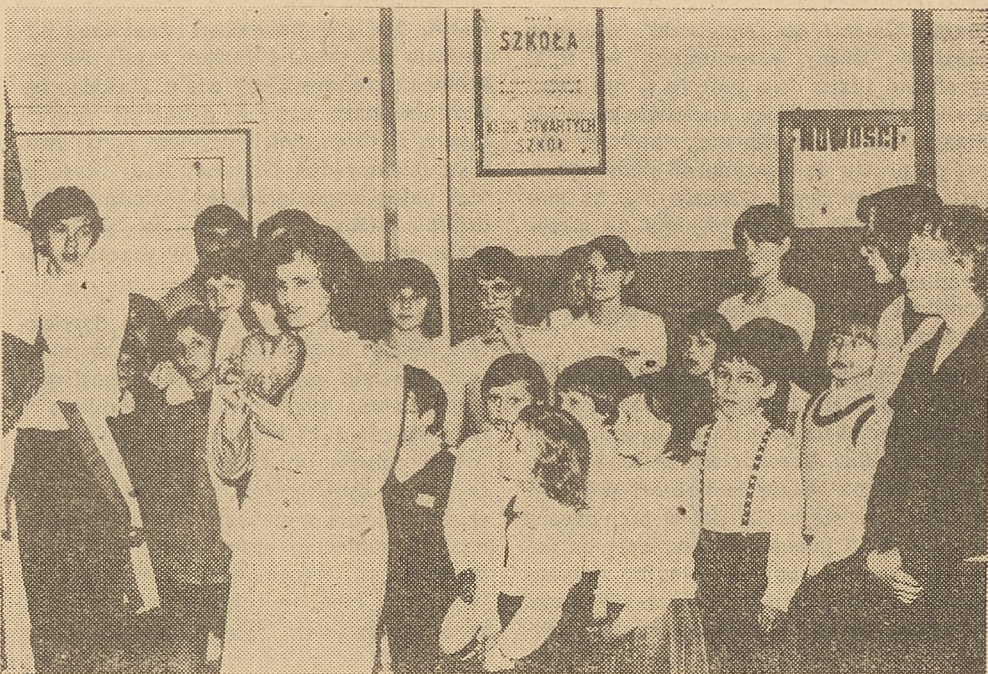
— Ona zawsze pamięta o najstarszych mieszkańcach Laskowic — potwierdza usłyszane przed chwilą zdanie Pelagia Stanisławek, przewodnicząca miejscowego Koła Gospodyń Wiejskich — bo jest to, proszę pana, pokolenie, które na ziemiach odzyskanych odegrało historyczną rolę. Jak się wyraża ta pamięć? Oto np. ostatnio najstarsi mieszkańcy Laskowic Olawskich i okolic otrzymali z okazji Świąt Bożego Narodzenia ozdobne karty z życze-

nia. Wykonali je i wysłali członkowie kółka historycznego. Drobiazg? Z pewnością, ale wzruszający.

KIM WIĘC JEST MARIA SIEBOR

dla laskowiczank? Myślę, że na pewno kimś niezwykle, żywym okazem zanikającego gatunku nauczyciela społecznika, jak ją określa dr Pantera. „Nasza nauczycielka” — mówią o niej zwyczajnie nawet starzy, którzy mimo szóstego czy siódmego krzyżyka na karku nadal „chodzą do szkoły”.

Bronisława Rozkosz miała w laskowickiej szkole czwórkę dzieci, które już dawno wyfrunęły w świat. Nie przypuszczała, że jej wizyty w szkolnych murach będą mimo to tak częste. Tekla Babiak, żołnierka-łączniczka, mieszkająca w Laskowicach od 1945 roku, twierdzi z przekonaniem: — Nie mogłabym nie przyjść, na lekcje pani Siebor. Żadne obowiązki nie zatrzymują mnie w domu. Dla Izabeli Behreht lekcje te są namiastką dawnego domu rodzinnego (nie tylko jej własnego), w którym rodzice przykładali dużą wagę do wychowania patriotycznego. Dzisiejsi ojcowie i matki nie mają na to czasu, a ponadto już nie są tak wrażliwi na pamiętki narodowe, jak kiedyś byli nasi. Pan



Fot. Z. Maj

Zwierzyński, siedemdziesięciokilkuletek, były więzień Oświęcimia, przychodzi na lekcje pani Siebor z odległej o 7 km Dębiny.

Indagowana powie o sobie: jestem wiejską nauczycielką. Ale wiejskich nauczycieli mamy w kraju 150 tysięcy... Istotnie dla niektórych może to być tylko pozycja w roczniku statystycznym. Dla innych termin ten oznacza misję, powołanie, postawę życiową, moralną, patriotyczną. W przypadku nauczycielki Marii Siebor trzeba zacząć od... curriculum vitae.

A więc na początku był wiejski, chłopski dom na Podolu i proste pielęgnowane z pokolenia na pokolenie obyczaje, a przede wszystkim spokój i zgoda. — „W moim domu nigdy nie słyszałam kłótni” — wspomina. To dzięki rodzicom zrozumiała, że Polska zaczyna się w rodzinie, bo rodzina przejmując, zachowuje i przekazuje następnemu pokoleniu te wartości, które stanowią o sile narodu.

Gdy w 1945 roku przyjechała wraz z rodzicami do Laskowic Olawskich, jej ojczyzną stała się ta wieś. Mieszka w niej już 38 lat. Wydarzenia w pierwszych powojennych latach zadecydowały o jej dalszej drodze życiowej. Nigdy nie zapomni na przykład pierwszego września 1945 roku. Cała wieś wyległa wtedy przed domy, aby zobaczyć, jak dzieci idą do szkoły. I pierwsza lekcja. Nauczycielka pani Zaborska, weszła do klasy. Po chwili skupionego milczenia zaintonowała „Jeszcze Polska nie zginęła”. Potem na pierwszej akademii w Laskowicach uczennica Ma-

ria Siebor w szczelnie wypełnionej sali deklamowała „Ja, dziecko wojny”. Po jej występie zebrani wstali jak jeden mąż i huknęli: „Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród”.

Dla jej rodziców, dla większości mieszkańców wsi okresu międzywojennego i pierwszych lat powojennych, miarą awansu społecznego był zawód nauczycielski. Maria także o nim marzyła.

I nieprzypadkowo. Jej pierwszym nauczycielem dziejów ojczystych w laskowickiej szkole była Stanisława Opalkowa — wspaniały pedagog, która swoim emocjonalnym stosunkiem do historii zarażała wszystkich. Maria Siebor marzenia zrealizowała. Ale dopiero po latach ciężkiej pracy osiągnęła pełną świadomość, czym jest i czym powinien być zawód nauczycielki w środowisku wiejskim. Szczególnie teraz, gdy Rzeczpospolita w tarapatkach, a do serc młodzieży wkrada się pustka.

— Dziecko wiejskie to szczególnie partner, od nauczyciela oczekuje na ogół więcej niż od rodziców — stwierdza w rozmowie. — A poza tym, tkwi ono w pracy, w otaczającej przyrodzie, która czymże jest, jak nie realną, dotykającą częścią naszej ojczyzny? Dlatego w takim środowisku łatwiej — tak uważa laskowicka nauczycielka — kształtować postawy patriotyczne.

Toteż stara się to czynić najlepiej, jak potrafi: z pasją i z oddaniem.

★

Sławne już na Dolnym Śląsku laskowickie lekcje — przedstawienia są odkrywaniem na nowo znanych przecież tradycji form rzeczywistego oddziaływania szkoły na całe środowisko. Sposób prezentowania przeszłości ma charakter interprymiotowy. Uczniowie przedstawiają fakty historyczne i jednocześnie wyrażają swój emocjonalny do nich stosunek za pomocą poezji, pieśni patriotycznej, publicystyki, nawiązując do malarstwa, Wprowadzając także rekwizyty, symbole narodowe. Wszystko to sprawia, że wydarzenia historyczne są żywe, nabierają dramatyzmu, bardzo silnie oddziałują na odbiorców i samych wykonawców. Pani Siebor uważa, że wszelki następ polega na wzbogacaniu kontynuacji. Z tą mądrą zasadą działa w Wojewódzkiej Radzie Postępu Pedagogicznego.

Wychowuje już 27 lat. Stara się przede wszystkim dawać jak najwięcej z siebie. Czego oczekuje od środowiska? Mówi, że wystarczają jej dowody uznania, jakie już otrzymała. To właśnie laskowiczankie zupełnie spontanicznie wystąpili do władz oświatowych o przyznanie ich nauczycielce Medalu Komisji Edukacji Narodowej.

W ogóle zaś ma swoje osobiste pragnienie: pozostać w życiowej pamięci ludzi, których potrzebom podporządkowała swój sposób życia.

WITOLD SALAŃSKI

NADZIEJE I RZECZYWISTOŚĆ

CD ZE STR. 2

czas wybór byłby bardziej naturalny, bo dokonany przez nauczyciela.

Wciąż otwarte jest pytanie: czy szkoła wyższa ma przygotowywać zawodowo, czy jest w stanie takie przygotowanie zapewnić i czy to jest konieczne? Wszak na czelnym zadaniem jest wyposażenie w określony zasób wiedzy. Kończenie w uczelni edukacji nauczycielskiej jest nieporozumieniem. Pogląd ten zaprezentował m. in. minister Benon Miśkiewicz dodając, iż w dalekosieijnym programie kształcenia pedagogów ten dylemat musi być rozstrzygnięty. I chyba minister ma słuszność. Nie można żądać, co czyni się często dziś, aby uczelnia wyższa dawała gotowy „produkt” w postaci dobrego nauczyciela. W uczelni wyższej zaczynać się powinien proces stawiania się nauczycielem (a może wcześniej?), aby następnie był kontynuowany w pracy zawodowej. Bo prawda jest

taka: dyplom nie pieczętuje kwalifikacji nauczycielskich ani tym bardziej uprawnień, on tylko otwiera drogę do zawodu. Dalsza edukacja i sito selekcyjne powinny być w pierwszych latach pracy.

To, oczywiście, pytania i problemy na jutro. Dziś należy rozstrzygnąć przede wszystkim sprawy bardziej palące, więc np. kwestie drożności dla absolwentów powołanych w roku ubiegłym SN. Padły obietnice, że ta kwestia będzie rozwiązana pomyślnie, jakkolwiek wiadomo, że stosunek uczelni wyższych do tej sprawy sympatyczny nie jest.

Do spraw pilnych będzie należeć też rozstrzygnięcie nowego, funkcjonującego drugi rok modelu studiów przemennych. Stworzono je na kierunku nauczanie początkowe na razie w skromnych rozmiarach. A przydałoby się rozszerzyć tę formę, ponieważ przyspiesza ona „produkcję” kadr dla oświaty.

Inna kwestia tzw. drażliwa, która budzi wątpliwości, to egzamin wstępny na studiach dla pracujących. Będzie obowiązywał nauczycieli już w tym roku. Czy jednak decyzyja ta nie odstraszy wielu ambitnych pedagogów od przekroczenia progu wyższej uczelni? Czy nie była ona zbyt pochopna? W dyskusji na posiedzeniu kierownictwa obu ministerstw poświęcono temu tematowi sporo uwagi. Resort oświaty chciałby jeszcze w tym roku rekrutacji bez egzaminu — skoro przygotowuje do podjęcia studiów na rocznym kursie, czy to nie wystarczy? Wszak nie egzamin jest najważniejszy — mówią jedni — lecz to, czy nauczyciel jest dobrze przygotowany do studiów. Wiele albo egzamin, albo przygotowanie — mówią inni. A może obie strony powinny pójść na kompromis? Co na przykład stoi na przeszkodzie, by wspólnie organizować kurs przygotowawczy (lepsze to niż egzamin), zakończony sprawdzianem? Taka też interpretacja do dalszych działań przyjęto, być może uda się wprowadzić ją jeszcze w tym roku.

★

W relacji tej ograniczam się do omówienia kilku ważnych kwestii, tych powszechnie akceptowanych i tych wciąż jeszcze spornych, wymagających analiz. Toteż dobrze się stało, że resorty nie zamykają dyskusji nad kształceniem nauczycieli. Powinna ona trwać w uczelniach, one bowiem, jak mówiono i na tej naradzie, po-

noszą przed społeczeństwem odpowiedzialność za kształcenie kadr dla oświaty. Potrzebna jest także dyskusja w środowisku oświaty, opinie nauczycieli-praktyków. Przygotowany na posiedzenie przeżydów kolegiów materiał, uzupełniony o uwagi i propozycje z dyskusji, mógłby być podstawą tych dyskusji. Planuje się też wspólne spotkanie na ten temat rektorów i kursorów. W efekcie rzetelnych rozważań można będzie określić zadania na dziś, a także stworzyć przyszłościowy zarys kształcenia nauczycieli. Taki, w którym stawianie się nauczycielem nie miałoby dokonywać się tylko w uczelni. Taki, który przygotowywałby organizatora szeroko rozumianej działalności edukacyjnej i wychowawczej w szkole. Nauczyciela, jakiego szkoła współczesna od dawna oczekuje.

MARIA RYBARCZYK

KIM BYŁAM KIM JESTEM?

CD ZE STR. 1

uważał. Należał do „śmietanki” wiejskiej młodzieży. Butny, zarozumiały, — miał wyrobione przez dom pojęcie o roli mężczyzny w życiu kobiety. Łaskawie mnie za- uważał. Nie byłem dla niego autorytetem, lecz po prostu dziewczyną do poderwania. Zostałam jego żoną. Okazało się, że mój mąż to wiejski dąb wyrosnięty na szerokiej przestrzeni. Był mocny w swoich przekonaniach i twardy do obróbki. Kiedy za- bronili mi jeździć z dziećmi szkolnymi na wycieczki, przeraziłam się.

Pewnego poranka, gdy mąż pojechał do pracy, napisałam kartkę: „Wybacz kochanie, pojechałam z dziećmi na biwak. Wró- cę za trzy dni”. Zamknęłam za sobą drzwi i z myślą „co będzie to będzie” pojecha- łam. Impreza się udała. Dzieci zachwycone pięknem gór i przysgodami, wracały do do- mu zmęczone. Ja byłam nie tylko zmęczo- na, ale i wystraszona. Bałam się męża. Nie zrobił mi jednak awantury, jak my- ślałam. To dodało mi odwagi. Jednak ura- żona dumą nie pozwalała mężowi na żad- ne dalsze ustępienia.

Wszystkie swoje osobiste marzenia do- tyczące rodziny realizowałam z trudem. Nie chciałam robić tego sama. Chciałam, żeby on też rozumiał sens życia dwójga lu- dzi razem. Żeby zrozumiał, że każdy ma własne marzenia, które musi realizować. Bez marzeń człowiek jest pusty. Kochałam go wraz z wadami i tą miłością chciałam uzyskać wszystko. Nigdy mu nie ubliża- łam. Powoli i jego odczuwałam przeklina- nia i ubliżania mnie. Byłam dla niego do- brą nawet wtedy, gdy wypadało wziąć to- boleń i pójść w świat. Nie zrobiłam tego.

W tym zmaganiu się o lepsze w życiu pomagali mi praca w szkole. „Moje” dzie- ci były zdoła artystycznie. „Mój” zespół zajął pierwsze miejsce w przeglądzie. Or- ganizowaliśmy akademie dla mieszkańców wsi, na które przychodziła cała wiejska społeczność. Cieszyłam się bardzo.

Od roku 1958 pracowałam w tzw. czte- roklesówce. Było to dla mnie najbardziej aktywne, pracowite i ciężkie lata. Sama uczyłam cztery klasy, sama sobie byłam kierownikiem i prowadziłam bibliotekę. Po sześciu latach przysła koleżanka i było nas już dwie. Zorganizowałam kurs dla tych, którzy nie ukończyli szkoły podsta- wowej. Uczyłam więc maluchy rano; po- tem opieką nad własnymi dziećmi, wieczó- rem — dorosli. Wstawiałam o piątej rano, żeby obrządzić dobytek (chowałam krowę, kury i prosiaka) i przygotować śniadanie. Byłam rolniczką, aby podreperować swój budżet. Doilałam krowę, wyrzucałam obornik, rwałałam buraki u sąsiadów, aby mieć pa- szę, grabilałam siano, sadziłam i zbierałam ziemniaki. Sama szylałam trojgu swoich dzieci ubranka.

Kiedy po latach kupiłam sobie małe go- spodarstwo w innej wsi i uczciwie na nim pracowałam, jednocześnie ucząc dzieci, już nikt nie powiedział, że jestem pracowita. Słyszałam, że jestem chytra i wszystkiego mi mało. Były to już czasy, kiedy nie oce- niano człowieka według jego spracowa- nych rąk.

Po wielu latach zostałam studentką Za- ocznego Studium Nauczycielskiego we Wrocławiu na kierunku — zajęcia prak- tyczno-techniczne i wychowanie plastycz- ne. Naukę rozpoczęłam sesją letnią, kiedy moja najmłodsza córka skończyła roczek, a ja miałam 25 lat. Musiałam prosić o pomoc w opiece nad dziećmi całą rodzinę. Mój mąż raz cieszył się z moich dobrych stop- ni, innym razem był zły, że tak często wy-

jeżdżam i zostawiam wszystko na jego gło- wie. Często po takich wyjazdach musiałam z trudem doprowadzać dom do porządku.

Nie pamiętam dziś, jak w tym czasie da- wałam sobie radę z pracą w szkole. Stu- dium skończyłam z wynikiem bardzo dob- rym. Doznałam dużej ulgi, a zarazem pod- nosiałam w swoich oczach wartość własnej osoby. Aby nie było mi nudno, rozpoczęłam wraz z rodzicami moich uczniów walkę o świetlicę dla wsi. Pamiętam radość ludzi, kiedy deklarowali swoją pracę przy re- moncie. Dawali drzewo ze swoich lasów na belki i podłogi. Mieszkańcy PGR zob- owiązali się te drzewa obrobić. Kiedy otwie- rano świetlicę, mnie już nie było w tej wsi. Ale ludzie nie zapomnieli o swojej na- uczycielce. Zaproszono mnie na tę uroczy- stość(...)

W nowej szkole rozpoczęłam pracę w harcerstwie. Tutaj nauczałam się prowa- dzić drużynę zuchową. Tutaj też w gro- nie rolników stałam się kandydatem do PZPR. To byli prawdziwi działacze. Wi- działam ich pracę i znałam myśli. Na ze- braniach planowaliśmy wiele. Każdego ce- chowała wiara w to, że podolamy wszyst- kiemu. Rodzice moich uczniów wytypowa- li mnie na radną Gminnej Rady Narodo- wej. Jakie wspaniałe były posiedzenia! Do dziś nie wiem, jak mogłam pogodzić wszy- stkie podjęte obowiązki. A przecież nie stroniałam od rozrywek.

W listopadzie 1964 r. zostałam dyrekto- rem szkoły. Bardzo chciałam być dyrekto- rem. Dawało mi to wreszcie możliwość zrealizowania swoich marzeń. Funkcję tę pełniłam do 1973 roku. Czy przez te 9 lat byłam dobrym dyrektorem? Wiem tylko, że byłam dyrektorem dyskrytym. Byliśmy czwartą szkołą w powiecie wysoko ocenio- ną pod względem pracy dydaktyczno-wy- chowawczej. Dawne swoje zamiłowania do wędrówek mogłam tutaj rozwijać w dru- żynie harcerskiej. Wydeptyliśmy ścieżki wszystkich najbliższych szlaków turystycz- nych. Mój mąż przyzwyczał się do moich wypraw.

Obozy harcerskie... Na ich temat mogę pisać poematy. Każdy z nich dawał mi no- we doświadczenia pedagogiczne, nowe za- niości i przyjaźnie. Po kilku latach w mo- im miasteczku znało mnie wiele dzieci, chociaż ja ich nie pamiętałam. Uczestni- cząc w operacji harcerskiej „Bieszczady- 40” jako komendant stacyjny, spotkałam się z młodymi nie niewiedzącymi i wszy- stkowiedzącymi. Trzy tygodnie pod wspólnym dachem uczyniły z nas rodzinę. Otrzy- muję dziś moc listów od ludzi starszych i całkiem młodych, którzy proszą o radę lub materiały programowe potrzebne im w pracy z harcerzami.

Siedzimy teraz oboje z mężem w wiejs- kim domku kupionym za pieniądze zarob- ionie przez niego. Zostało mi „parę dni” do emerytury. Mogę tak napisać, gdyż do trzy- dziestu lat pracy brakuje mi tylko półtora roku. Czy skorzystam z tego przywileju — jeszcze nie wiem. Kiedy w czasie urlopu odwiedzają mnie moje maluchy z klasy pierwszej, to wydaje mi się, że dopiero teraz rozumiem dzieci i dopiero teraz mo- gę być prawdziwym pedagogiem.

„BARTEK”

ZMAGANIE Z ŻYCIEM



Fot. Cz. Górski

CENA SUKCESU

Pierwszy rok studiów przebiegał dosyć pomyślnie. Miałam jeszcze wtedy dużo sił i zapału. Łączyłam wówczas funkcje spo- łecznego zastępcy dyrektora w małej szkół- ce, instruktora harcerskiego z rolą matki i gospodyni. Byłam też aktywnym zwią- zkowcem. Dyrektor szkoły kończył właśnie studia magisterskie, dlatego na rok przed oddaniem jego pracy pełniłam praktycznie również funkcję dyrektora szkoły.

Wszystko jakoś potrafiłam godzić. I dom, rodzina była zadowolona, i w pracy też od- nosiłam sukcesy. Prowadziłam ekspery- ment „Dzienników wychowawczych”, na- śladując pracę niektórych szkół warszaw- skich, organizując życie klasowe metodą harcerską. Młodzież lubi być odpowiedzial- na, szybko więc poczuła się gospodarzem swojej szkoły i klasy. Uczniowie redago- wali nawet własną gazetkę, aktywne ucze- stniczyli w zajęciach pozalekcyjnych. Ja zaś opublikowałam kilka artykułów zwią- zanych z pracą wychowawczą na terenie szkoły. Lubiałam to i poświęcałam wiele czasu na doskonalenie się w tym kierun- ku. Nawiazałam korespondencyjne kon- takty z różnymi szkołami. A po ostatnim wyjeździe na Węgry — zaprosiłam uczniów ze szkoły w Szentendre na spotkanie z oka- zji „Święta szkoły”.

W tymże roku podczas wakacji wyje- chałam z klasą VIII — którą prowadziłam od I klasy — na obóz na Węgry. Naucz- cieli szkoły w Szentendre zaprosił nas w czasie wakacji na dwutygodniowy odpoczy- nek. Ze względu na warunki materialne, byłam tam instruktorem tzn. komendan- tem obozu, jak również pełniłam rolę kuchmistrza.

Po tak pracowitych wakacjach wyruszy- łam na dwutygodniową sesję do Częstochó- wy. Do egzaminów przygotowywałam się więc wieczorami, a także w czasie podróży i wycieczek po Węgrzech. Moi harcerze i kadra swoją postawą dużo mi pomagali.

Pierwsze egzaminy, z wyjątkiem „logi- ki”, zdałam więc bardzo dobrze. Działalam również aktywnie w Związku Nauczyciel- stwa na terenie miasta. Jakoś godziłam ro- lę gospodyni, matki już dwójga dzieci i opiekunki chorej teściowej. Odnosiłam sukcesy w pracy zawodowej jak i na stu- diach.

Syn kończył wówczas szkołę podsta- wową w innej szkole matematycznej, a trzy- letnia córka uczęszczała do przedszkola. Mąż pracował w systemie czterobrygodo- wym w hucie. Starał się na swój sposób zawsze mi pomagać. Jednak roli zaopa- trzeniowca i kucharki nigdy nie podejmo- wał. To spoczywało na mojej głowie. Cie- szył się jednak z moich sukcesów i chętnie wyreczał mnie w pracach domowych. Lubił dzieci, toteż poświęcał im wiele cza- su.

Warunki materialne mieliśmy dosyć trudne. Składaliśmy wówczas na mieszka- nie i meble. Często ledwo wiązaliśmy ko- niec z końcem, żeby systematycznie odkła- dać na wymarzone mieszkanie. Na książ- ki czasami dawał mi moi rodzice, którzy również cieszyli się z moich sukcesów. Każdą płątkową ocenę w indeksie córki kwitowali pewną sumką.

„ZUZANNA”

Dopiero na trzecim roku studiów sytu- acja trochę się skomplikowała. Zapropono- wano mi przejście do budującej się szkoły na nowym osiedlu. Tu, jako zastępca dy- rektora, najczęściej przebywałam do póź- nego wieczora. Adaptacja nowego budy- nku, dyżury i jeszcze wtedy prób zorgani- zowania na terenie szkoły harcerstwa zaj- nowały bardzo dużo czasu. Nie chcąc prze- szkadzać domownikom, uczyłam się nocą w swojej dość przysłupnej kuchni. Syn przy- gotowywał się do matury, córka dojeżdża- ła już do szkoły baletowej w Bytomiu, a ja przygotowywałam się do pisania pracy magisterskiej.

Kładłam się spać o godz. 21.00, budzi- łam się o godz. 24.00 i pracowałam często do rana. W szkole mieliśmy wtedy już 36 oddziałów. Układanie planów i inne oba- wiały zawodowe pochłaniały mi coraz więcej czasu. Mąż przez cztery lata moich studiów nie korzystał z urlopu. Wszystkie wolne dni poświęcał na opiekę nad trójką dzieci.

Wszystko skomplikowało się jeszcze bar- dziej, kiedy zaszłam w ciążę i urodziłam syna. Dojazdy do Częstochowy, upały, lip- cowe w czasie sesji były nie do zniesienia. Częste omdlenia i choroby serca przeska- dzały mi w przygotowywaniu pracy magi- sterskiej. Egzaminy również stały się udrę- ką. Po dwóch tygodniach po urodzeniu sy- na wyjechałam na czternastodniową sesję do Częstochowy. Zmuszona też byłam od- dać maleństwo pod opiekę starszej kobiety. Odwoziłam je codziennie rano o godz. 6.30 autobusem, aby na godz. 7.30 być już w pracy. Często słyszałam uwagi: „Co to za matka, tak wczesnie budzi dziecko!...”. Często powtarzałam sobie — nie możesz się poddać, a gdy otrzymałam absoluto- rium, byłam najszcześliwszym człowiekiem na świecie. Pozostało mi wykończenie pra- cy i konsultacje u promotora.

Nagła śmierć mojego brata zwałała mnie z nóg. Praca w szkole — (obowiązką za- stępcy dyrektora), przebiegała normalnie, ale z pracy w organizacji harcerskiej i w ZNP musiałam się wycofać. Nadmiar oba- wiazków nadwreżył moje zdrowie. Jed- nak pracę magisterską oddałam w termi- nie i broniłam jej jako jedną z pierw- szych. Cieszę się, że dopiełam swego.

Często wracam myślami do tych naj- cięższych dni, kiedy to jechałam na obro- ne pracy już w żalobie po bracie, zostaw- iając chore dziecko (40° gorączki — odra) przy mężu, który musiał iść na noc do pra- cy; truchlałam na myśl o tym, co zastanę w domu — po powrocie.

Nie miałam czasu na radości. Wkrótce okazało się, że muszę iść do szpitala. Po trzech miesiącach pobytu w klinice (ope- racja) wróciłam do pracy.

Nie podjęłam już obowiązków zastępcy dyrektora. Jestem nauczycielką, prowadzę (już od 22 lat) klasy młodsze, organizuję życie harcerskie i ruchowe w klasach, obo- zy harcerskie, kolonie letnie. Zawsze sta- ram się być przede wszystkim wychowaw- cą i dobrym patriotą, którego u nas, na Śląsku, tak bardzo potrzeba.

CZEKAM I WIERZĘ

„Piszcie o sobie prawdę bez ukrywania tajemnicy duszy” apelowała redakcja do uczestników konkursu. A więc napiszę o tym, co ukrywam w duszy. Napiszę, mo- że będzie mi łatwiej, może będzie to prze- strogą dla innych, może znajdą dla siebie wskazówki, które ja zgubiłam. Zgubiłam szczęście, radość, spokój, a zyskałam tytuł magistra, miano dobrego dyrektora, nagro- dy, dyplomy, pochwały, odznaczenia, krzy- że.

Wydawałoby się, że u mnie wszystko „gra”. Cóż jej do szczęścia potrzeba — mógł- by powiedzieć każdy z moich współpracow- ników i znajomych. I pozornie mogłoby się wydawać, że to prawda. Jest nas dwu- je w czteropokojowym, ładnie urządzonej mieszkaniu. Mąż rencista, żona dyrektor szkoły, dobre zarobki, plus masa różnych prac społecznych. Dwóch synów dorosłych — jeden skończył studia, usamodzielniał się, założył rodzinę i uszczęśliwił dziadków najdroższym wnuczkem. Drugi jeszcze studiuje. Kłopotów z własnymi dziećmi nie miałam. Wiele osób patrzy na mnie za- zdrosnym okiem, nie wiedząc o moim prawdziwym nieszczęściu, które ukrywam przed ludźmi. To nieszczęście to pijaństwo męża, któremu poddał się, gdy ja studio- wałam. Gnębiam mnie wyrzuty sumienia, że to ja jestem temu winna.

Kiedy chłopcy byli w wieku szkolnym (mąż pracownik umysłowy — na stanowi- sku), rozpoczęłam studia zaoczne. Trzy la- ta SN. Dwa lata WSN. Dwa lata — studia magisterskie. Doliczając okresy preparato- wawcze, przerwy, pisanie i obronę pracy, kursy przedmiotowe, dyrektorskie — to około 10 lat wyrwanych z życia rodzinne- go, towarzyskiego. Pilnowałam przede wszystkim studiów i pracy. Prowadzenie domu siedziałam na męża i dzieci.

Mijały lata, mąż coraz bardziej tracił cierpliwość. Unikał domu, znajdował uko- jenie w wódce. Kiedy odbywały się zaba- wy, przyjęcia rodzinne, nie było nas tam prawie nigdy, bo „żona ma egzamin, sesję, bo wróciła z egzaminu zmęczona”. Litości- wi, koledzy, ugaszczali go przed zabawą, po zabawie i przy każdej innej okazji. Wracał pijany, rozczalony — ostrą wymia- na zdań i ponowne wyjście z domu.

Początkowo jego nieobecność była mi na rękę, bo mogłam się spokojnie uczyć, pisać. Chciałam, żeby wyszedł i nie prze- rzywał mi pracy. Jednak z biegiem lat je- go nieobecność stawała się dla mnie kosz- marem, nie mogłam się uczyć. Wygaszone światła w pokoju, splaszony nos na szy- bie, przyspieszone bicie serca, niepokój, rozstrojone nerwy i godzinne wycekiwania. Ileż to razy po awanturze, („trzeba było się uczyć, kiedy był na to czas, a nie teraz, kiedy masz męża i dzieci”) biegłam do po- ciągu, żeby zdążyć na sesję, na egzamin. W szkole musiałam się uśmiechać do dzie- ci, rodziców. Musiałam wysłuchiwać i współczuć 48-osobowej grupie koleżanek i kolegów, którzy zwierzali mi się ze swo- ich kłopotów rodzinnych i zawodowych.

Przez cały okres studiów niczego lu- dziom nie zazdrościłam, tylko snu. Byłam ciągle zmęczona. Ze szkoły wracałam póź- no. Po przyjęciu do domu dwie godziny poświęcałam rodzinie. Potem wysłuchiwa- łam dziennika TV i zniktałam z pokoju, aby uczyć się do późna w nocy. Nie byłam spe- cjalnie zdolna, ale obowiązkowa i praco- wita. Musiałam więc wszystko wypraco- wać, wysłuchać.

Zaniedbałam męża, dzieci, chciałam prze- de wszystkim skończyć studia. Starając

ZYSKI I STRATY

się należycie wywiązać z obowiązków szkolnych, a w domu „jakoś tam jest” — mawiała. Dzieci nie chodzą głodne, dob- rze się uczą, w domu posprzątane i ciepło.

Dziś mąż jest na rencie chorobowej, a ja pracuję na utrzymanie domu i studiu- jącego syna. Są miesiące, że renta męża idzie na wódkę. Pije bez przerwy, następ- nie przestaje na miesiąc, dwa (a były już i trzy miesiące przerwy, gdy chorował) i znów pije. Sam, w domu, w piwnicy, w ukryciu, ale także otwarcie o każdej po- rze dnia i nocy. Przestaje, gdy zdrowie jest zagrożone. Gdy nie pije, jest dobrym męż- łem, ojcem, dziadkiem. Umie załatwić wszystkie sprawy domowe.

Robię sobie ciągle wyrzuty, że to prze- ze mnie. Przecież on kiedyś taki nie był. Jestem już bezradna. I znowu na pierw- szym miejscu stawiam pracę w szkole; po- święcam się pracy zawodowej, społecznej. Być może, po przejściu na emeryturę, gdy będę w domu, sytuacja ulegnie poprawie. Czekam i wierzę.

„NADZIEJA”

JA, ona i to mało



Fot. J. Leśniak

Czy jestem dobrą nauczycielką? Nie wiem, ale uważam pracę w przedszkolu za bardzo ciekawą; lubię, bardzo lubię dzieci i — jak widzę — one się z mną dobrze czują. Praca w przedszkolu jednodzielo- wym to harówka, której się nie da opi- sać. Zajęcia z dziećmi 3-, 4-, 5- i 6-letnimi od godz. 7 do 14. Następnie codziennie — za- kupy żywności dla przedszkola, sporządza- nie spisu dziennego zużycia żywności, obli- czanie kalorii, jadłospis, obliczanie opłat i wysyłka zawiadomień do zakładów pracy rodziców, zakup węgla, drewna na codzien- ny użytek, sprzętu trwałego itp. itp.

A w domu, w domu czekał na mnie syn, który jak każde dziecko wymagał troskli- wej opieki. Wszelkie zajęcia w domu, jak pranie, gotowanie, sprzątanie też należały do mnie. Wynałazku XX wieku (babci) nie miałam. Synem opiekowała się kobieta, do której go zanieśliśmy. Po roku był następny syn i za rok córka. O studiach, pracy spo- łecznej nie było wówczas mowy.

Dzieci i praca zawodowa — to wypełniało mi dzień po brzegi. W nocy, między jed- nym, piącem dziecka a drugim, robiłam dla przedszkolaków pomoce dydaktyczne. Cze- sto przychodziła mi myśl, by rzucić to wszystko, pójść nie wiadomo dokąd.

Wszelkie troski zostawiałam jednak w domu, dzieci nie mogły widzieć mnie smut- nej, a było ich 46. Mimo wszystko chcia- łam, aby moje zajęcia były atrakcyjne, aby dzieci chętnie chodzili do przedszkola.

Tymczasem moje własne dzieci rosły, jak na drzewach. Rozrastało się i przedszkole — przybył jeden oddział. Poprawily się warunki; doszła intendenta i pomoc wy- chowawczą; ubyło mi trochę pracy. Do- szłam do wniosku, że czas najwyższy, abym wyszła poza dom i przedszkole. Nawiaza- łam kontakt z Liga Kobiet, gdzie organi- zowano różne kursy: harciarskie, zycia, gotowania, pieczenia, robienia na drutach. To wszystko było mi potrzebne, mogłam, a raczej umiałam niektóre rzeczy zrobić samodzielnie dla przedszkola czy domu. Wróciły mi siły, radość, energia. Zdawało mi się, że jestem zdolna nawet świat prze- wrócić.

Był najwyższy czas rozpocząć studia. Na przeszrodzie jednak stanęła ciąża, a z nią żylaki, piekące w dzień i noc i złe samo- poczucie. Urodził się syn, czwarte moje dziecko. Chłopiec często i ciężko chorował. Ale myśl o studiach nie opuszczała mnie. Kiedy najmłodszy syn skończył 3 lata, za- pisałam się do SN — bez wiedzy i zgody męża. Gdy po otrzymaniu zawiadomienia o sesji poinformowałam go o tym, w domu wybuchła awantura. Przy okazji dowie- działam się, że mojemu mężowi wykształ- cona żona jest niepotrzebna. Mąż dotąd nie zajmował się dziećmi, a teraz nagle ma to robić. Wziął urlop, bo — jak powiedział — pracując nie da rady. Powrót z sesji let- niej przeżyłam jak ciężki zawał. Czekaly na mnie smutne, umorusane dzieci, góra brudów do prania, sprzątanie itd.

Teraz, do dotychczasowych zajęć, doszła nauka własna. O pomocy męża nie było mowy, starał się nawet utrudniać mi wszy- stko. A ja? Do godz. 16 praca w przed- szkolu. Potem zakupy, gotowanie (mój małżonek cierpiał zawsze na dolegliwości gastryczne i ślad dietetyczne, codzienne go- towanie). Pranie również do mnie nale- żało, jak też pomoc przy lekach dzieciom. Potem jeszcze chwila relaksu: zajęcia przy grządkach.

Gdy dzieci zasnęły i konieczne było (nie lubiłam patrzeć, gdy się uczyłam), zasiada- łam do nauki własnej. To była moja pasja. Codziennie dzień w dzień, a raczej noc, w noc śleczalam nad książkami.

Przed każdym wyjazdem na sesję, rozpe- tywała się burza — mąż musiał opuszczać się własnymi dziećmi! Zbliżał się termin pracy dyplomowej, trzeba było poświęcić jej więcej czasu, robić obserwacje, zasię- gać rady u pedagogów. Otwijałam głowę mokrym ręcznikiem i pisałam. Ku memu

ogromnemu zdumieniu pracę oceniono jako bardzo wartościową. Postawiło mnie to na nogi.

Przed obroną pracy dyplomowej otrzy- małam bardzo przyjemną wiadomość, a mianowicie zaproszenie do Warszawy po odbiór nagrody konkursowej nt. „Projekt pomocy naukowych”. No cóż, robiło się te- go niemało i jedną z nich po prostu wy- stąpiłam. Muszę dodać, że było to moje naj- większe wyróżnienie.

Skończyłam SN z piątką na dyplomie. Wróciłam do domu zmęczona, wychudzona, ale szczęśliwa. Chciałam pokazać mężowi mój dyplom, ale go to nie zainteresowało. Tylko zapytał: skończyłaś? Gdy usłyszał „tak”, dodał: „no, nareszcie”.

Po roku stwierdziłam, że SN to za mało. Bez wiedzy małżonka rozpoczęłam studia zaoczne, a raczej nocne, gdyż teraz nauka wymagała dłuższego siedzenia przy lampce nocnej. I znowu zaczęłam się uczyć, zda- wać egzaminy i po dawnemu chudnąć, tra- cić zapas sił. Staraliśmy się wykorzystywać na naukę każdą wolną chwilę, uczyłam się w wannie podczas kąpieli, w czasie zmywa- nia naczyń, prania, gotowania (ile to razy obiad się przypalił!). Nawet podczas piele- nia grządek słuchałam uprzednio nagra- nia na taśmie magnetofonowej powtórek. Wszyscy mieli tego serdecznie dosyć!

Nauka nauka, ale nie mogła na tym cier- pieć praca w przedszkolu, a już na pewno nie z sześciolatkami. A w tym czasie wpro- wadzony został dla nich nowy program, ja zaś miałam odpowiedzieć przeszkoleniu (u- kończyłam roczny kurs). Byłam więc zob- owiązana pracować w grupie sześciolatków.

Nie ukrywam, że przychodzili dni zala- mania, często omdlałam mąż kładł do łóżka, a rano otrzymywałam garść pouczeń. Nie pomagały, postanowiłam nie przerywać na- uki. Na egzaminy jechałam niekiedy bar- dzo chora. Zdarzało się, że atak nerek „wy- padł” tuż przed wyjazdem na sesję. Nie rezygnowałam i dopiero po skończonej se- sji, gdy odebrałam wyniki badań, okazało się, że powinienem znaleźć się w szpitalu. Ale tyle wolnego nie sposób brać, więc ciepłe okłady na nerki i minęło.

Najgorsze były sesje letnie. Czasem zda- wało mi się, że nie Kocham ani słońca, ani kwiatów, że nienawidzę pogody. Czulałam się lepiej, gdy było pochmurno.

Niekiedy idziemy z małżonkiem z wiza- ty. Patrząc: mieszkanie ślicznie urządzone, mnóstwo uroczych drobiazgów, wśród których królują laleczki-kobiety mające czas na wszystko. U mnie — czworo” dzie- ci, nauka i praca.

Wreszcie skończyła się nauka, życie w domu powoli wracało do normy. Nieste- ty, przeciążone pracą gardło dało znać o sobie. Częste wizyty u lekarza na nie się nie zdają. Proponują mi wypoczynek; nie zgadzam się, zdaje mi się, że jestem po- trzebna w przedszkolu. Od teraz tabletki i zastrzyki są moim nieodłącznym przyja- cielem. Sanatorium na wiosnę i jesienią i znowu nie ma mnie w domu, jak za daw- nych lat. Ile gorzkich słów muszę wysłu- chiwać od męża. Dziś jesteśmy zadowoleni z mojej nauki, oprócz osobistej satysfak- cji jest nieco więcej w budżecie, co przy sześciuosobowej rodzinie bardzo się przy- daje. Byliśmy na czasach, jeździłiśmy nieco po Polsce. Znowu pełnię funkcję dy- rektorki i pracuję z dziećmi sześciolatkami. Działam też społecznie w TPD.

Czego nie osiągnęłam, co mi się nie uda- ło? Nie zdążyłam zdobyć symboli bogac- twa — po prostu nie miałam na to czasu. Co zyskałam? Sympatię mego personelu, rodziców, dzieci, a nawet małżonka.

Moje dzieci i przedszkolne, i te własne, są ubrane, nakarmione i radosne. Więcej mi do szczęścia nie potrzeba.

„WAGA”

WSPÓLNIE MAMY SZANSĘ

Pierwszy raz zebrali się cztery miesiące temu, 16 października ub. r.; 28 osób, wszyscy od lat związani z działalnością byłego ZNP. Postanowili wtedy — mimo zrozumiałego rożgoryczenia losami swej organizacji — podjąć pracę nad jej odrodzeniem. Z przyjęciem formuły, że ma to być ZNP, jeden dla wszystkich pracowników oświaty w całych Siedlcach, nie było żadnych problemów.

13 grudnia ub. r. to data pamiętna — także dla ich związku — uzyskali wtedy rejestrację sądową i dziś uważają się za jedną z najstarszych organizacji ZNP w kraju. Sama procedura sądowa przebiegała gładko — oparł się na statucie wzorcowym, opracowanym dla organizacji ZNP, starając się zmienić jak najmniej. Wszystko z myślą, by później, gdy dojdzie do tworzenia struktur krajowych, móc całą operację przeprowadzić jak najsprawniej.

12 lutego odbyła się w Siedlcach Miejska Konferencja Programowo-Wyborcza Związku Nauczycielstwa Polskiego. Delegaci reprezentowali 633 członków organizacji. Jeśli odjąć od tej liczby 130 emerytów — dodam bardzo aktywnych i zaangażowanych — okaże się, że dziś skupiają w swych szeregach prawie połowę wszystkich pracowników oświaty z terenu miasta.

Obrazy miały bardzo uroczystą oprawę i zaczęły się od wdzicznego gestu — przekazania kierownictwa konferencji w ręce zasłużonych, wieloletnich działaczy dawnego związku; przewodniczącą prezydium wybrano kol. Janinę Mazurkiewicz.

W dyskusji można wyodrębnić kilka nurtów. Wszystkie były podejmowane z ogromną pasją, we wszystkich wystąpieniach przebiegała nuta: ponad rok przerwy w pracy związkowej cofnął nas w wielu sprawach o dziesiątki lat, często zaprzepścił istniejący dorobek. Obecnie jest taka mnogość zadań, że trudno określić, co jest najważniejsze, od czego zacząć — wszystko trzeba robić jednocześnie.

Stosunek do przeszłości powracał w każdym wystąpieniu. Odwoływano się do zasług ZNP dla narodowej oświaty, postawy związku w okresie kryzysu. O dodatkowych rożgoryczeniach wzbogaciła te głosy praktyka, przynajmniej z pierwszego okresu, administracji siedleckiej; zamknięcie klubu ZNP, zdejmowanie sztydów i wywieszek związkowych. Obowiązujące zalecenia władz o przekazyaniu dokumentacji, pieczęci, druków i blankietów rozwiązanego ZNP do decyzji wojewody także spotkało się z krytyką.

— Co z majątkiem związkowym? — pytano — to przecież dorobek całych pokoleń nauczycieli. Kiedy i w jakim stanie otrzymamy go z powrotem?

CO Z MAJĄTKIEM ZWIĄZKOWYM?

Dr JAN ZACIURA, przedstawiciel pełnomocnika do spraw zarządu majątkiem ZNP poinformował uczestników konferencji o utworzeniu tego zarządu. Składa się on z działaczy Zarządu Głównego rozwiązanego ZNP i od zarządów Komisarycznych oraz różnych jednostek administracji państwowej przejmując obecnie wszystkie aktywa byłego związku. Zakreślono już przejmowanie majątku trwałego; w pięciu nowo powstałych zarządach znalazło się więc 6 sanatoriów, 12 domów wczasowych, 18 ośrodków usług pedagogicznych i socjalnych, a także gmach byłego Zarządu Głównego wraz z uruchomionym już hotelem.

W związku z trwającym procesem oddania się ZNP — a warto wiedzieć, że w całym kraju zarejestrowano już ponad 400 ZNP, w sądach są czeka około 1600 wniosków — odblokowaniu stopniowo ulegają fundusze związkowe na potrzeby przeznaczone na remonty i wykończenie mieszkań. Tryb zalewnia formalności jest taki sam, jak dawniej, a pieniądze wypłaca OUPIS. Obecnie trwa ocena stanu, w jakim — po rocznym zajmowaniu się nim przez różnych opiekunów — znajduje się majątek związkowy.

Z tym rozrachunkowym nurtem dyskusji wiąże się powszechny w wystąpieniach postulat możliwie szybkiej odbudowy struktury pionowej związku — do Zarządu Głównego włącznie. Dziś, w obliczu

spraw pilnych i najpilniejszych dla polskiej oświaty — wszyscy mają świadomość, że są problemy, których jedyną szansę rozwiązania stanowią negocjacje przedstawicieli związku z administracją państwową na szczeblu centralnym. A więc to przedstawicielstwo związkowe musi możliwie szybko powstać. Zebrani uchwalili w tej sprawie list do przewodniczącego Rady Państwa, prof. Henryka Jabłońskiego.

Do spraw wymagających rozwiązań centralnych, a zatem negocjacji na szczeblu centralnym, należy regulacja plac pracowników ekonomiczno-administracyjnych i obsługi. Przedstawiciele administracji oświaty, że w tej sprawie liczą na pomoc związków. A ma ta regulacja pierwszoplanowe dla oświaty znaczenie.

Podobna sytuacja jest z Kartą Nauczyciela, jej wcieleniem w życie, przepisami wykonawczymi. Temu, by przywileje wynikające z Karty nie ginęły, nie roznosiły się w wędrownie z góry na dół, może przeciwstawić się tylko związek. I tylko on może zapobiec ukazywaniu się aktów prawnych, z których śmieją się wszyscy (np. słynne „przegięszenie”). To zresztą dobrze, że władza chce się z tych niefortunnych przepisów wycofać, ale najlepiej byłoby, aby z władzy się nie śmiała i nie musiała ona zmieniać swych zarządzeń. Tempo ukazywania się zarządzeń to zresztą zupełnie inna sprawa. Wielkim zadaniem związku jest dziś stanąć na straży Karty, nie dopuszczać do jej nieprześląganego zmieniania i egzekwować wszystkie, wynikające z niej prawa.

A nie jest z tym najlepiej, co widać choćby na przykładzie problematyki socjalnej. Komisje socjalne kończą swój żywot. Dobrze, że w tym trudnym okresie były, ale obecnie cały zespół spraw socjalnych — który zgodnie z Kartą winna przejąć administracja oświatowa — zaczyna wisieć w powietrzu. Związek tej działalności nie przejmie, bo troska o wypoczek, leczenie czy inne tego typu sprawy jest obowiązkiem pracodawcy. Tymczasem trwają targi o to, ile MOiW powinno otrzymać w skali kraju etatów dla służb pracowniczych. Dla nauczycieli zaś — i w ogóle pracowników — ważne jest, kiedy te służby zaczną powstawać i jak będą działać. Wyjaśnienie inspektora, że nie zaczyna powstawać przed 1984 r., nikogo z delegatów nie zadowoliło. — To znaczy, że praktycznie jeszcze przez, co najmniej rok ich sprawy socjalne mają być zdane na improwizację, a co za tym idzie, na załatwianie ich od przypadku do przypadku? Na taką koncepcję związkowcy nie wyrażają zgody.

Wiele uwagi dyskutanci poświęcili sytuacji w siedleckiej oświacie, sprawom warsztatu pracy, a także problemom kadrowym. Szczególnie te ostatnie, a głównie kwestia braku kwalifikowanych kadr, wzbudziła wiele niepokoju. Powołano w kraju tzw. SN. Zdaniem dyskutantów, jest to forma cofająca wstecz kształcenie nauczycieli. Ponadto niedrożna.

Druga sprawa to pozyskiwanie do pracy w szkole ludzi z innych zawodów. Nie wydaje się słuszne, aby zdobywali oni pedagogiczne przygotowanie w Rembertowie, skoro w Siedlcach jest Wyższa Szkoła Rolniczo-Pedagogiczna i wszelkie konieczne rozwiązania powinny — zdaniem dyskutantów — jako punkt wyjścia przyjmować ten, niezwykle korzystny fakt. To w oparciu o miejscowych fachowców i istniejące różne systemy kształcenia powinno się pracować nad uzupełnianiem braków kadrowych. A to może zapewnić istniejąca na miejscu uczelnia. Administracja nie ma także żadnego programu, którego celem byłoby zatrzymanie w szkołach tych nauczycieli, którzy mogą przejść na emeryturę, choć wcale nie muszą na nią przechodzić. Zresztą otwarta pozostaje sprawa wykorzystania ogromnego kapitału wiedzy i doświadczenia, jaki reprezentują emeryci-nauczyciele.



Sala obrad — wszyscy, jak widać, są „za”.



Od lewej: Teresa Jankowska z Zespołu Szkół Zawodowych nr 1, Ewa Pachniewicz ze Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego, Hanna Ceranka ze Studium Nauczania Początkowego i Wychowania Przedszkolnego oraz Alicja Boruta i Bożena Dreszer — nauczycielki Szkoły Podstawowej nr 3 w kulturalnej obradzie.

Fot. Cz. Górski

Ponieważ siedlecki ZNP już dziś jest organizacją liczną i grupie pracowników, zatrudnionych w różnych szkołach, postanowiono podzielić się na następujące sekcje: wychowania przedszkolnego, szkolnictwa ogólnokształcącego, szkolnictwa zawodowego, oświaty rolniczej, pracowników administracji i obsługi, a także emerytów i rencistów. Ustalono, że przewodniczącą poszczególnych sekcji wejdą z urzędu w skład Zarządu Miejskiego. Do tego ostatniego konferencja wybrała 17 osób, powołując ponadto Komisję Rewizyjną (3 osoby), Sad Koleżeński (6 osób) i społeczny inspektora pracy. Przewodniczącym zarządu w oddzielnym głosowaniu wybrano do-

tychczasowego przewodniczącego komitetu założycielskiego, a jednocześnie dawnego przewodniczącego Zarządu Okręgu ZNP w Siedlcach, kol. Stefana Cerankę. Był to jedyny kandydat, zgodnie więc z przyjętym regulaminem, musiał uzyskać co najmniej 90 proc. głosów; uzyskał zresztą większość. W obradach uczestniczyła posłanka z tego okręgu, nauczycielka Jadwiga Ciachocka, która poinformowała zebranych o trybie prac sejmowej Komisji Oświaty i Wychowania. Konferencję zakończyło przyjęcie wytycznych działania dla nowo obranego zarządu.

MARIA KALINSKA

SZCZECINEK

WSPÓŁDECYDOWAĆ

Jako pierwszy w woj. kowalskim związek w szkole średniej — zarejestrowany został już 15 listopada 1983 r. ZNP w Zespole Szkół Mechanicznych w Szczecinku. Wstąpiło doń 46 pracowników tej placówki, co stanowi 77 proc. zatrudnionych. 5 stycznia 1983 r., na walnym zebraniu, wybrany został zarząd, określono również zadania związku, sprzeciwiano plan pracy na rok bieżący z uwzględnieniem wszystkich wniosków zgłoszonych w dyskusji. Za najważniejsze z nich uznaliśmy między innymi: — utworzenie Komisji Pracowników Administracji i Obsługi, która zajmie się specyficznymi problemami tej grupy; — powołanie Komisji Informacyjno-Prawnej dla bieżącego siedzenia ukazujących się przepisów prawnych oraz informowania o tym członków Związku; — utrzymanie zasadów statutowych w wysokości 3000 zł w razie śmierci członków najbliższej rodziny oraz urodzin dziecka.

Zebraniu zarządu ustaliliśmy formy współpracy z dyrekcją. Wykorzystaliśmy nasze poprzednie doświadczenia w tym zakresie, uzupełniając je ustaleniami wynikającymi z bieżącego potrzeb pracowników szkoły. Do tych ostatnich należą między innymi konsultacje z zarządem zarządu w sprawie ukazujących się przepisów prawnych resorcie, które wymagają właściwej interpretacji zgodnej z duchem Karty Nauczyciela. Wyniki dyskusji podawane będą do wiadomości wszystkich pracowników naszej szkoły. A warto wspomnieć, że niektórzy

przepisy wykonawcze do Karty budzą wiele kontrowersji. Tak jest na przykład z rozliczaniem dodatku trudnościowego, za sprawą wyrażenia nauczycieli w okresie matur, praktyk zawodowych czy też w sprawie odpłatności za dodatkowe zajęcia określone w rozdz. 3 par. 16, ust. 1, p. 1.

Osobny problem stanowią zbyt niskie płace pracowników administracji i obsługi. Kwestia ta wymaga szybkiego i radykalnego rozwiązania.

Uważamy, że przepisy wykonawcze winny być jednoznaczne i zgodne z literą i duchem Karty Nauczyciela. Nieodwzowne jest konsultowanie projektów owych przepisów (terminy, brzmienie) z istniejącymi nauczycielskimi związkami zawodowymi.

Jako nauczycielski związek zawodowy chcielibyśmy uczestniczyć w takich konsultacjach, dlatego też wysłaliśmy do MOiW oraz Kuratorium Oświaty i Wychowania w Koszalinie informację o naszej działalności; wystąpiliśmy też z propozycją współpracy w ustalaniu i normowaniu praw dotyczących pracowników szkolnych. Formy ewentualnej współpracy powinniśmy przedyskutować — może właśnie na łamach „Głosu Nauczycielskiego”? Sądzimy bowiem, że istniejące nauczycielskie związki zawodowe powstały między innymi po to, aby współdecydować o wszystkich sprawach dotyczących pracowników szkolnictwa.

Członkowie Zarządu ZNP w ZS-2M w Szczecinku

ZYSKAĆ APROBATĘ

Gdy zwołano w tym mieście zebranie informacyjne w sprawie związku zawodowego w środowisku sześciuset pracowników oświaty, przyszli jedynie 33 osoby, przy tym tylko 24 z nich zdecydowały się podpisać listę obecności... Tak w listopadzie ubiegłego roku reagowano na związkowe wici. Nie tylko tutaj.

Minał jednak kwartał i do wspólnego dla całej Wrześni Związku Nauczycielstwa Polskiego — działającego przy Wydziale Oświaty i Wychowania wrzesińskiego Urzędu Miasta i Gminy, Kuratorium Oświaty i Wychowania i Wydziale Rolnictwa, Gospodarki Żywnościowej i Leśnictwa Urzędu Wojewódzkiego w Poznaniu (a zatem jednocześnie przy trzech pracodawcach) — należy 208 osób. Przy tym spodziewane są następne deklaracje członkowskie, ponieważ sporo pracowników wskazuje je właśnie do wypełnienia.

Tak działa, oczywiście, nie sam czas, choć i tego było potrzeba, aby większa liczba osób podjęła decyzję o przystąpieniu do ZNP (bądź potwierdziła swą przynależność do związku — bo i takie oświadczenia są we Wrześni honorowane, zwłaszcza w przypadku emerytów).

— Na poszerzenie bazy członkowskiej związku mają u nas wpływ, jak sądzę, trzy zasadnicze czynniki — wylicza przewodniczący komitetu założycielskiego, zresztą były prezes tutejszego Zarządu Oddziału ZNP — Bernard Baron. — Po pierwsze nie spieszyliśmy się i nie spieszymy z wyborami nowych władz związkowych, głośno i powszechnie informując o tym we wszystkich szkołach. Chodzi nam o to, aby o składzie przyszłego zarządu zdecydowała większość, czyli przynajmniej owe „50 proc. + 1 osoba” całego środowiska tutejszych pracowników oświaty. Ludzie to widzą i cenią. Na przykład, długoletnia wzorowa nauczycielka ze Szkoły Podstawowej nr 2, Władysława Wołoszyn, która wcześniej publicznie stwierdziła, że ze związku nikt jej nie usuwał, więc nie widzi potrzeby „prosić o ponowne przyjęcie”, powiedziała przy okazji złożenia deklaracji, że dostrzega z uznaniem „postrzeganie się do wysiłku po stołki”.

Wielu myśli podobnie. Zyczliwie przyjęto w środowisku „czas do namysłu” — trzy miesiące licząc od rejestracji ZNP. Po tym czasie dopiero nie będziemy uwzględniać całego dotychczasowego stażu związkowego zgłaszającym się do ZNP.

Po drugie: wybory zaplanowane na drugą połowę marca br. więc ich przygotowanie nie zajmuje komitetowi założycielskiemu czasu teraz, gdy cały wysiłek organiza-

cyjny skierowaliśmy po rejestracji ZNP — na tworzenie ognisk we wszystkich 25 placówkach oświatowo-wychowawczych naszego miasta i gminy. Komitet upoważnił swych pełnomocników do działań związkowych w powstających ogniskach. Nikt zatem nie powie, że działają oni samowolnie, nie zarzuć też nikł, że z którąkolwiek placówką nie liczymy się lub, że spisaaliśmy ją „na straty”. W pierwszej dekadzie lutego nasi przedstawiciele otrzymali w komitecie założycielskim egzemplarze uchwalonego już statutu ZNP we Wrześni oraz deklarację z zadaniem dostarczania na kolejne zebrania, 23 lutego, zwrotu „potwierdzeń członkowskich” lub dalszych podpisanych przez nowych członków deklaracji. Pozwoli nam to do 5 marca utworzyć wszystkie ogniska ZNP w mieście i gminie oraz przeprowadzić w nich tajne, demokratyczne wybory władz oraz delegatów na konferencję programowo-wyborczą. Dopiero ona powoła Zarząd ZNP.

Po trzecie: zintensyfikowaliśmy działalność klubu w Domu Nauczyciela, którego obecnie jestem kierownikiem. Klub ten pozostaje — do czasu wyboru władz ZNP — pod administracją tutejszego inspektora szkolnego, jednak już z chwilą rejestracji związku Wydział Oświaty i Wychowania przekazał nam pełnię uprawnień do programowania działalności finansowanej z funduszu socjalnego pracodawcy. Klub otwarty jest teraz trzy razy w tygodniu: w poniedziałki przed południem, zaś w środy i piątki w godzinach popołudniowych i wieczornych. Mamy trzy sale sekcje: brydżową, szachową, plastyczną; ich zajęcia gromadzą też sporo kibiców. Organizujemy też turnieje sportowe, zajęliśmy się także planowaniem czasów sobotnio-niedzielnich we własnym ośrodku w Sko-rzęcinie, położonym w województwie konińskim. Do ośmiu czterosobowych domków wypoczynkowych grupy chętnych będzie dowoził autokar (przeznaczony normalnie do przewozu uczniów), jedynie za zwrotem kosztów paliwa. Grupom tym zapewniemy aktywny wypoczek. Początek wyjazdów — z nastaniem wiosny.

Przez zaproszenie do owego planowania wszystkich, którym takie formy wypoczynku świątecznego odpowiadały, zyskaliśmy — zgodnie z naszymi oczekiwaniami — aprobatę także wśród pracowników, którzy dotychczas powstrzymywali się od oparcia związku. Koledzy nasi wiedzą, że to właśnie ZNP bierze na siebie troskę o wspólne zagospodarowanie czasu „po pracy” i pragnie w ten sposób integrować zespoły pracownicze z różnych placówek oświatowo-wychowawczych miasta i gminy Września, a nawet współdziałać z kolegami z sąsiednich ogniw związkowych.

Poparcie, jakie już uzyskaliśmy w środowisku, staje się widoczne także dla władz wojewódzkich. Związek Nauczycielstwa Polskiego we Wrześni został przez te władze — jako jedna z 40 zakładowych organizacji związkowych województwa poznańskiego — wytypowany do udziału w konsultacjach nad projektem ustawy o społecznej inspekcji pracy. Z satysfakcją przyjęliśmy to wyróżnienie. Jestelmy zainteresowani tym, aby w przyszłości członkowie ZNP, jeśli będą — jak oczekujemy — stanowili u nas większość wśród pracowników oświaty, mieli zagwarantowany decydujący wpływ na skład i kształt działań inspekcji pracy.

JANUSZ TRZCIANKA

APEL Z RZESZOWA

KOLEŻANKI I KOLEDZY!

1 lutego 1983 r. zarejestrowano Związek Nauczycielstwa Polskiego przy Wydziale Oświaty i Wychowania w Rzeszowie. Z ogromną radością i prawdziwą satysfakcją witamy odradzający się związek. Jest to bowiem dowód, że nie dopuściliśmy do zaprzestania życia tego bogatej tradycji oraz 78-letniego dorobku, uzyskanego dzięki nieustraszonej i bezinteresownej pracy tysięcy działaczy.

Znowu mamy ZNP, który pomoże w niełatwej trudnej sprawie, zalagodził zażalenie i spory. Jeśli zadamy sobie pytanie, jaki faktycznie on będzie, to odpowiedź będzie krótka — na miarę chęci i zaangażowania jego członków.

Tylko od nas zależy, czy organizacja nasza spełni oczekiwania. Trzeba konsekwentnie realizować program i postępować zgodnie z uchwalonym statutem, w myśl którego ZNP rozwija wszechstronną działalność zmierzającą do podnoszenia rangi społecznej nauczyciela, jest rzecznikiem interesów i broni praw pracowników oświaty i wychowania, administracji i obsługi. (...)

KOLEŻANKI I KOLEDZY!

Jeśli stoicie dotąd na uboczu związkowej działalności, jeśli tylko obserwujecie budzącą się działalność — zastanówcie się, czy w imię swojego i środowiska dobra nie należy wstąpić w szeregi ZNP, szeroko otwartego dla każdego. Dobrze jest nam miana droga, która kroczyła nasza organizacja od zarania jej dziejów. Trzeba nam tylko wytrwać, a spełnią się nasze oczekiwania i ZNP znów będzie tętnił życiem.

Przewodniczący Komitetu Założycielskiego ZNP w Rzeszowie

SZKOŁA DYREKTORÓW

WOJCIECH SIERAKOWSKI

Do egzaminu wstępnego przystąpiło 125 osób. Na pierwszy semestr przyjętych zostało 56 najlepszych. W marcu podejmą naukę na kierunku administracyjnym. Tak to rozpoczęła swą działalność nowa placówka naukowo-dydaktyczna, którą tu i ówdzie ochrzczono mianem: „szkoła dyrektorów”. Choć w gruncie rzeczy nie jest to szkoła, ani tym bardziej dyrektorów, Centrum Poddyplomowego Kształcenia Pracowników Administracji Państwowej ma bowiem nieco inny profil i cele. O wiele szersze, rzecz jasna.

Nie nasz XX wiek odkrył prawdę, że sprawne kierowanie zespołami ludzkimi to bodajże połowa sukcesu. Ale to właśnie w tym naszym wieku prawda ta szczególnie mocno odzisa się na rzeczywistości społecznej, gospodarczej itp. Odciska się ona także na naszej polskiej rzeczywistości. Niestety, częściej i minus. Gdyby zapytać stu rodaków, co jest, ich zdaniem, główną przyczyną naszych obecnych kłopotów, bodajże większość odpowiedziałaby, iż to efekt błędnych decyzji, niewłaściwego kierowania życiem przedsiębiorstwa, regionu, kraju. Iż za mało mamy prawdziwych menedżerów, a za dużo dyktatorów, aby nie powiedzieć bardziej ostro. Nie jest moim celem dyskusowanie, na ile są to opinie słuszne (choć mówią szczerze, bardziej podzielać je niż te, które podnoszą tylko kwiecie tzw. trudności obiektywnych), poprzestałmy więc na odnotowaniu ich jako społecznego odczucia. Natomiast należałoby zapytać, dlaczego stało się tak, że menedżerów nie mamy wcale lub za mało? Drugiego pytania, jakie może się w tym miejscu nasunąć — dlaczego właśnie dziś tak ważne jest zrównanie „podaż i popytu” na fachowców w tej dziedzinie — stawiam nie trzeba. To rozumie się samo przez się.

Niewątpliwie nie mieliśmy, jak dotąd, zarówno dobrej polityki kadrowej jak i nowoczesnych metod kształcenia ludzi spełniających różne funkcje kierownicze i samodzielne, zarówno w aparacie gospodarczym jak i administracyjnym. Co prawda już w 1947 roku podjęte zostały po raz pierwszy decyzje w tym kierunku, ale nie zostały one wprowadzone w życie. Owcześniejszy projekt powołania Instytutu Administracji Państwowej, pracującego na potrzeby rozwijającego się kraju, nigdy nie został zrealizowany. Inne konieczności, inne priorytety okazały się być ważniejszymi...

Dopiero w dziesięć lat od projektu, gdy teści administracja została już ludźmi jako tako nasycona, zaczęto znów myśleć o podnoszeniu kwalifikacji tych, którzy kierują. I tak w 1957 roku utworzone zostają pierwsze zawodowe studia administracyjne, a w parę lat później będące ich przedłużeniem studia magisterskie. Oba funkcjonują od 25 lat. W tym też czasie wyposażył naszą administrację w absolwentów całkiem niezłe wyszkolonych. Jednocześnie ze zwroceniem uwagi na wykształcenie uniwersyteckie tworzone były różne resortowe ośrodki doskonalenia kadr. Te ostatnie cechowało doskonałość wiedzy ściśle określonej potrzebami branży, galezi czy instytucji powołującej ośrodek. Niezależnie od mankamentów takich form podnoszenia kierowniczych kwalifikacji ludzi na mniej lub bardziej eksponowanych stanowiskach, trzeba przyznać, iż był to pewien krok naprzód. Wypada także przyznać, że dzięki nim administracja, szczególnie terenowa, nasycona została ludźmi z cenzusem uniwersyteckim o szerszej wiedzy, szerszych horyzontach myślowych.

W lata siedemdziesiąte weszliśmy więc z moze nie najnowocześniejszym, ale i nie najgorszym przecięt systemem kształcenia kadr kierowniczych. Zie natomiast się stało, iż poprzestano na tym, co było, że modyfikowane były programy, a nie system. Oczywiście, nie bez znaczenia okazała się być obowiązująca w tamtej dekadzie polityka kadrowa oparta na zasadzie centralnego podejmowania decyzji w tych sprawach. Praktycznie stanowiąca kierownicze, począwszy od zastępcy prezesa gminnej spółdzielni, obsadzone były w oparciu o przynależność organizacyjną, mniej zaś o ocenę fachowości czy rzeczywistych predykcji kandydata. Szczególnie silnie uwydatniało się to w administracji, nie tylko zresztą terenowej. Mówiąc krótko, w czasach, kiedy świat dął głównie o kształcenie menedżerów, tworzył nowe szkoły, ośrodki służące wyszkolaniu tych najlepszych, my bacziliśmy przede wszystkim na pozawzajemne cechy delikwenta, licząc po dozu, że z czasem się człowiek „wyrobi” na tym czy innym kierowniczym stanowisku.

Sierpień więc pod tym względem właściwie nie odkrył nic nowego. Tu i ówdzie okazało się co prawda, że kregosłup był

nie ten, że faktycznie wielu ludziom brakowało podstawowych kwalifikacji, ale o tym w gruncie rzeczy od dawna wszyscy wiedzieli. Ten sam Sierpień, jak na ironię, wykazał bowiem niezbiecie, że ta krytykowana administracja ma pewne zalety i jest wytrzymała, bo nadal jako tako działała, mimo iż dookoła się waliło i paliło. Z drugiej jednak strony przemiany zapoczątkowane latem 1981 r. rzuciły nowe światło na problem kierowania i gospodarką, i sprawami państwowymi. A potem przysłała reforma gospodarcza i to, o czym mówiono, stało się koniecznością. Tym bardziej że reguła stała się społeczne patrzenie na ręce — dyrektorom, kierownikom, naczelnikom itp. itd. Zie odnowiona na swym zjeździe partia zmieniła poglądy na kwestię polityki kadrowej, dając większe uprawnienia w tym względzie samej administracji. Jednym z elementów tejże nowej polityki jest właśnie Centrum Poddyplomowego Kształcenia Pracowników Administracji Państwowej działające przy Instytucie Organizacji Zarządzania i Doskonalenia Kadr.

Powołane zostało decyzją Rady Ministrów z 28 kwietnia ub. r. Za cel działania centrum przyjęto wyrabianie kwalifikacji odpowiadających wymaganiom stawianym przed kandydatami do objęcia stanowisk samodzielnich i kierowniczych. Projektowane są dwa kierunki studiów — administracyjny i gospodarczy. Półki co, uruchomiony został tylko ten pierwszy. Jedyną przeszkodą dla otwarcia drugiego są kłopoty lokalowe. Gdyby zapewnił odpowiednią baze lokalową, kierunek gospodarczy mógłby przyjąć słuchaczy nawet już tej jesieni. Programowo i kadrowo centrum jest do tego przygotowane. Z tego samego powodu — kłopoty lokalowe — na pierwszy semestr przyjętych zostało tylko 56 osób. Można by więc, ale wówczas brak bazy musiałby negatywnie wpłynąć na tok nauki, na efektywność pracy studentów i nauczycieli. Był to więc wybór dokonany niejako z konieczności. Bismenaczelna zasada działania centrum jest nie ilość, lecz jakość, maksymalizacja umiejętności i wiedzy, które powinni wynieść z tego absolwenci. Temu zresztą ma służyć trwający trzy semestry studiów stacjonarnych program, a przede wszystkim metody nauczania. Przypominają one to, o czym jak dotychczas zwykliśmy tylko czytać w doniesieniach z zagranicy informacyjnych, jak gdzie indziej kształcił się właśnie menedżerów. Zanim jednak o szczegółach, parę informacji o tym, kogo przyjmowano „na naukę” w centrum.

Abym ogóle uzyskać prawo do ubiegania się o przyjęcie na te studia, trzeba było być skierowanym przez ministra, wojewodę bądź prezydenta miasta wojewódzkiego. A poza tym trzeba mieć wykształcenie wyższe, wiek do 35 lat, 5-letni staż pracy, w tym co najmniej 2 lata na stanowisku kierowniczym lub samodzielnym. Nie mówiąc już o wysokim poziomie intelektualnym oraz postawie etycznie-moralnej. Można więc powiedzieć, że do egzaminu wstępnego przystąpili wybrani z wybranych. Dopiero ich poddano sprawdzianowi egzaminacyjnym. Obok sprawdzianu wiedzy zawierał on także badanie zdolności kandydatów do formułowania i obrony poglądów, umiejętności koncentracji, działalności uwagi, zdolności do analizy i syntezy itp. itd. Do zdobycia było 50 punktów. Indeks otrzymali ci, którzy osiągnęli co najmniej 30.

Wśród tak wyselekcjonowanej grupy 58 osób, 12 to pracownicy administracji centralnej, 44 — administracji terenowej; zaś pod względem wykształcenia jest: 16 ekonomistów, 15 inżynierów, 14 absolwentów studiów administracyjnych (ZSA, SA), 6 prawników, pozostali reprezentują psychologię, socjologię, nauki matematyczne. Miadżdżać przewaga mężczyzn; jest tylko 9 pań. Wynik egzaminu nie ma sensu omawiać, ale warto chyba powiedzieć, iż zdający najwięcej błędów mieli z językami obcymi i... kulturą języka polskiego. Nie najlepiej też wypadli w testach psychologicznych badających takie cechy, jak wrażliwość, odporność, dokładność. Ale to już raczej ciekawostki.

CO ZMUSZA DO REFLEKSJI?

Spisuję te myśli jeszcze pod wrażeniem ostatniej szkolnej konferencji. Żenująco niskie wyniki nauczania, nowe nie znane dotąd u nas problemy wychowawcze i narastające w nas uczucie niemocy — to musi zmuszać do refleksji każdą radę pedagogiczną, każdego nauczyciela. Od dawna już stało się jasne, że narastające trudności mają swoje źródło w niewłaściwej pracy wychowawczej. To dobrze, że wie o tym ministerstwo (przede wszystkim tak zrozumiałam dokument „Kogo chcemy wychowywać”), mówią o tym coraz częściej nauczyciele.

Szczególnie trudna sytuacja jest na wsi. W takiej właśnie szkole pracuję i chciałabym krótko zastanowić się nad tkwiącymi w naszym systemie oświatowym czynnikami, które, moim zdaniem, mają niemały wpływ na obecną sytuację.

Od wieków już każdy pedagog wie, że uczeń osiąga dobre wyniki wówczas, kiedy jest autentycznie zainteresowany przedmiotem. Stąd ogromna rola rozbudzania zainteresowań, rozwijania najdrobniejszych nawet symptomów uzdolnień. Tylko naprawdę utalentowany nauczyciel osiąga to w czasie lekcji. Kiedyś wspierały go doskonale zajęcia pozalekcyjne. Dobre harcerstwo, ciekawe koło historyczne czy techniczne dawały szansę porwania młodego człowieka, rozczarowania, samodzielnego poszukiwania, twórczych działań. Spójrzmy, jak to dziś wygląda? Obserwuję u nas i wiem z wielu rozmów z kolegami z innych szkół, że ostatnio z roku na rok praca pozalekcyjna w szkołach zanika.

Jakie są tego przyczyny? Po pierwsze: przy obecnej siatce godzin i takiej bazie lokalowej, jaką mamy, możliwość organizowania tych zajęć istnieje. W najlepszym przypadku, po godzinie 16.00. Proszę mi pokazać szkoły, w których dojeżdżająca nauczycielka, mająca w perspektywie zakupy, gotowanie, odebranie dziecka z przedszkola — znajdzie taki dzień, kiedy może zostać? Jeżeli się zresztą zdecydować, będzie mieć na zajęciach dzieci bezpośrednio po 7 lub 8 lekcjach zmęczone, bez obiadu, mające jeszcze odrobić lekcje i pomóc rodzicom w gospodarstwie.

Najczęściej próbujemy więc przenosić te zajęcia na soboty. Niestety, nie jest to dobre rozwiązanie. W praktyce każde grono, rozdzielone na soboty tak, by pojedynczy nauczyciel mógł mieć jak najwięcej wolnych. W efekcie jego podopieczna organizacja spotyka się z nim raz na pięć do siedmiu tygodni, trudno tu więc mówić o rezultatach.

Zresztą, generalnie rzecz biorąc, obserwujemy niechęć nauczycieli do prowadzenia tych zajęć. Dziś próbuje się płacić tym ludziom za te zajęcia, ale znów ktoś „na gorze” nie prze-myślał sprawy do końca. Bo czy porównywalne jest prowadzenie koła matematycznego z prowadzeniem drużyny harcerskiej lub zespołu, SKKT czy choćby dobrze pracujących kół LOP i PCK? Dlaczego więc w placach honoruje się koła, a pomija organizacje? Najlepszy nawet instruktor bierze w takiej sytuacji koło, najczęściej kilkusobowe, bo, niestety, nasze pobory znów są „za krótkie” na bieżące potrzeby.

Pora też, byśmy sobie jasno powiedzieli, że przejście na pięciodniowy tydzień pracy zrodziło nowe problemy. Zmęczenie psychiczne dzieci wyraźnie już na znacznie przeciętne wydłużonych lekcjach. Z obserwacji wynika również, że uczniowie coraz mniej uczą się w domu, a praca w soboty i niedziele należy do sporadycznych przypadków. Trzeba tu ogromnych wyważonych działań grona nauczycielskiego w metodach prowadzenia lekcji, a głównie planowania pracy domowej, by nie zniechęcić ucznia i nie użyć go cwaniactwa. A ilu szkołom udaje się to do końca?

Dużym błędem w naszej praktyce była też akcyjność wdrażania pewnych koncepcji dydaktyczno-wychowawczych. Fleming, Muszyński (z konieczności stosując te powszechnie znane skróty) to była kopalnia ciekawych innowacji, gdyby ich dokumentnie nie rozłożono planowaniem etapów wdrożenia, połowicznością poznania założeń i bezmyślnymi uogólnieniami. Uważam, że obecnie w każdej szkole powinno się, wbrew lansowanej tu i ówdzie negacji wszelkich „narzuconych z góry”

koncepcji, wrócić spokojnie do przestudiowania tamtych materiałów. Jestem pewna, że znajdziemy w nich na własny użytek wiele ciekawych form pracy.

Pierwszy z brzegu przykład — punktowa ocena ze sprawowania. Pisała m. in. o tym kol. Palmowska z Pabianic w numerze 5 („Polubić godzinę wychowawczą”). Prowadzimy taką od lat w naszej szkole. Rada pedagogiczna na wniosek uczniowskiej rady szkolnej kilkakrotnie ulepszała kryteria i na dziś jesteśmy do niej absolutnie przekonani. Jest tylko jedno ale... Nasi uczniowie rzeczywiście mają niższe niż ci z innych szkół oceny, co staje się powodem corocznych dyskusji wśród absolwentów ubiegających się o miejsce w szkołach ponadpodstawowych. Obawiam się, że umieszczone w aktualnie obowiązującym regulaminie oceniania, klasyfikowania i promowania (Dz. Urz. nr 6/1981, poz. 45) ogólnikowe kryteria nie rozwiążą problemu do końca. Czy więc w tym przypadku nie byłoby słuszne sprzeciwienie ich w skali kraju? Można by przecież skorzystać ze sprawdzonych już doświadczeń wielu szkół i rozwinąć szkodliwą, w moim przekonaniu, dowolność.

Dużo zła czyni również za mała skala ocen za wyniki w nauce. Mówimy o tym od kilku już lat i nic się nie zmieniło. Wprowadzenie plusa i minusa przy ocenach cząstkowych jest tak chyba stare jak szkoła, zarządzenie tylko więc ten stan rzeczy sankcjonuje. Tymczasem na okres nadal stawiamy taką samą ocenę za bardzo przeciętne różnorodny stopień wiadomości i umiejętności. I nie chodzi tu nawet najbardziej o sumienie nauczyciela, ale właśnie o rezonans tego faktu w zespole uczniowskim, jego wychowawcze oddziaływanie.

Chciałabym skierować te uwagi za waznym pośrednictwem do kompetentnych władz. W szkole toczy się dziś batalia o odzyskanie wiarygodności, o prawdziwe efekty. O podstawowych metodach i formach decyduwać musi każda rada pedagogiczna, znająca wszystkie uwarunkowania środowiskowe i właściwości psychofizyczne swoich wychowanków. Zarządzenia władz mogą nam jednak znacznie tę pracę ułatwić, usuwając z niej to, co nie służy równaniu w górę.

IRENA CIEPLIK
Gołkowie

ODROBINA DOWCIPU...

Z przyjemnością powitałem fakt ponownego zamieszczania na ostatniej stronie „Głosu” kolejnych próbek satyrycznej twórczości pedagogów.

Przyznam, że brakowało mi bardzo tej swoistej „klamry” zamykającej każdy numer gazety. Piszę o tym nie tylko jako autor, lecz przede wszystkim jako czytelnik. Przecież celny i dowcipny rysunek, fraszka czy „złota myśl” — to też publicystyka! Publicystyka o dużym nieraz ciężarze gatunkowym, oczywiście, odwrotnie proporcjonalnym do ilości słów, które zawiera.

Żal mi trochę i tamtej przekornej winietki: „Bodajbyś cudze dzieci uczył...”, która choć tak kontrowersyjna, przecież była bardzo... nauczycielska i adekwatna do stylu. A dzieci i tak nie są „cudze” tylko... nasze.

Pamiętam, że kiedyś zamieściliście wiele wypowiedzi czytelników na temat utworów zamieszczanych w rubryce: „Bodajbyś cudze dzieci uczył”. Jeśli dobrze pamiętam, większość wypowiedzi była wóczas za jej kontynuowaniem w niezmienionej formie.

Uważam, że odrobina dowcipu, szczypta gorzkiej ironii i trochę uszczypliwości nie zaszkodzi nawet Najpoważniejszej Sprawie!

WIESŁAW CZERMAK
Lidzbark Warmiński

NA PARTYJNYM FORUM

Członkowie PZPR, pracownicy oświaty i wychowania w Bielsku Podlaskim, spotkali się w końcu stycznia z Bazylim Leszczyńskim, nauczycielem Szkoły Podstawowej nr 3, delegatem na Wojewódzką Konferencję Partyjną.

Przedstawił on zebranym informacje o stanie realizacji planu gospodarczego województwa ze szczególnym uwzględnieniem oświaty. W minionym roku ilość miejsc w przedszkolach wzrosła o 718; województwo otrzymało zaledwie dwa nowe budynki szkolne — w Grodzisku i Juchnowcu.

W dyskusji przebiegała troska o stan szkolnictwa podlaskiego. Mówiono, że jeśli oświatę będzie się tak traktować jak obecnie, cofniemy się o kilka lat. Wraz ze zmniejszaniem ilości godzin pracy nauczycieli, obniżeniem ilości dzieci w klasach szkolnych i odejściem dużej liczby nauczycieli na emerytury, w najbliższym czasie placówki oświatowo-wychowawcze miasta będą musiały zatrudnić około 100 nowych pedagogów. Przy obecnym tempie przygotowania kadry nauczycielskiej przez Filię Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku i inne tego typu uczelnie w kraju — Bielsk Podlaski nie doczeka się szybko potrzebnej ilości kadry dobrze przygotowanej do zawodu. Zachodzi więc potrzeba zorganizowania w mieście Studium Nauczania Początkowego.

Do programów KM PZPR i MRN wniesiono wiele uwag, dotyczących między innymi budowy szkół podstawowych. Obecnie szkoły pękają w szwach, występuje kilkumiesięczna przerwa, a nauka trwa przez sześć dni w tygodniu. Postanowiono zwrócić się do naczelnika miasta o wyznaczenie działki pod przyszłą szkołę, bez której szkolnictwo nie może się obejść.

Mówiono także o bardzo niskich płacach pracowników obsługi, którzy masowo odchodzą do innej, bardziej popłatnej pracy; o paradoksalnej sytuacji z rozprowadzeniem wśród uczniów bezpłatnie podręczników szkolnych, które w obecnej sytuacji są zbyt kosztownym podarunkiem. Zwracano również uwagę, że obecnie nauczyciel zamiast zajmować się nauczaniem i wychowaniem, traci często czas na rozprawianie talonów na buty, rajstopy czy żytelety. Podnoszono wielkie zagrożenie Karty Nauczyciela, szczególnie w punktach dotyczących zrównania nauczycieli w płacach z kadrą inżynieryjno-techniczną.

Delegata proszono o przedstawienie sytuacji w szkolnictwie bielskim na Konferencji Wojewódzkiej.

WIESŁAW FALKOWSKI
Bielsk Podlaski

ROLA SŁOWA

Wprawdzie artykuł pióra dr A. Kotusiewicz i dr H. Kwiatkowskiej o odpowiedzialności nauczyciela („Głos” nr 2/83) został opublikowany na początku stycznia, ale problematyka odpowiedzialności jest tak istotna, że warto wrócić do tematu i dorzucić parę uwag i refleksji. W hierarchii wartości cech pozytywnych człowieka doby współczesnej ustawiłbym właśnie odpowiedzialność na pierwszym miejscu. Problem odpowiedzialności, jak to sugerują autorki artykułu, można rozważać w wielu płaszczyznach i aspektach.

Są jeszcze i inne podziały i podstawowe konteksty sytuacyjno-znaczeniowe, w których występuje pojęcie odpowiedzialności, szczególnie ważne dla pracy i działań

nauczyciela. Zwraca na nie uwagę prof. M. Michalik w swoich licznych pracach. Mamy więc zewnętrzny układ sytuacji, w której znajduje się człowiek, miejsce pracy i rola, jaką spełnia w systemie społecznym. Mówimy wtedy o specjalnie odpowiedzialnych stanowiskach i wynikającej z nich odpowiedzialności za los innych ludzi. Z drugiej strony — mówiąc o odpowiedzialności — mamy na uwadze postawę człowieka i takie właściwości: psychiczno-moralne (w tym przypadku) nauczyciela, które odpowiadają jego funkcji i charakterowi wykonywanych przez niego zadań.

I właśnie nie ma pełnej symetrii między odpowiedzialnością zadań i funkcji człowieka a jego postawą moralną i wewnętrzny poczuciem obowiązku i odpowiedzialności. Nie zawsze określone funkcje pełni człowiek dojrzały, kompetentny, odpowiedzialny, na co życie współczesne dostarczyło nam i dostarcza nadal wielu negatywnych, strasznych wręcz w społecznych skutkach przykładów.

Janusz Korczak, mówiąc o nauczycielach-wychowawcach przypominał wielokrotnie: „Działaj uważnie, odpowiedzialnie, konsekwentnie, ale pamiętaj, że nigdy nie masz polisy ubezpieczeniowej na sukces wychowawczy”. Zasadniczym elementem pracy nauczyciela jest ryzyko, ale i umiejętność, konieczność przewidywania konsekwencji określonego postępowania lub jego zaniechania (o czym mówimy znacznie rzadziej). Nieliczenie się z tym doprowadza do wielu tragedii osobistych, społecznych. Dają one często znać o sobie później, gdy młody człowiek opuszcza szkołę, rozpoczyna pracę zawodową, zakłada własną rodzinę. Skutki braku odpowiedzialności w naszym zawodzie nie są widoczne tak szybko, jak w zakładzie produkcyjnym, np. zniszczenie surowca czy popuszczenie maszyny. Ich zasięg społeczny jest jednak stokroć groźniejszy.

Znamy z doświadczenia lub opowiadań przypadki, w których stresy, lęki, niechęć i nienawiść uczniów do szkoły, nauczycieli, zaczynają się od „niewinnych” rzucanych przez nauczyciela słów. Raz są to złośliwe komentarze, uwagi dyskredytujące ucznia w oczach rówieśników. Kiedy indziej dwuznaczne dowcipy pod adresem rozwiniętej nad podziw fizycznie uczennicy. Istnieją przypadki zniewagi lekcyjnej w/i i zakompleksienie na stałe uczniów czy uczennic na skutek publicznych, uszczypliwych uwag nauczyciela.

Wiele lat temu miałam ucznia — nazwiskiem Dubaj; jeden z profesorów postanowił dowcipnie zmienić w nazwisku „b” na „p”. Dla klasy świętny „ubaw”, dowcip nauczyciela „chwycił” i trzymał się do końca nauki szkolnej. Ale ile upokorzeń spowodowało to u piętnastolatka, a nawet jego rodziny, która chciała przenieść go do innej szkoły?

A więc nauczyciela obowiązuje również trochę odpowiedzialności za słowa, rzucane czasem dla uciechy „gawiedzi”, w celu ugruntuowania popularności, wśród innych uczniów! („Fajny belfer, ale sypie brudem”).

Niedawno mogliśmy obejrzeć w telewizji bardzo ciekawy film z życia szkoły pt. „Kamerton”. Ten film poruszał właśnie podstawowe problemy wychowawcze, o których obecnie wiele dyskutujemy: szkoła a indywidualność ucznia, uczciwość i odpowiedzialność wychowawcy, nauczyciela.

W „Kamertonie” kłopoty wychowawców obracały się wokół jednego ucznia, innego od kolegów, błyskotliwego, silnego indywidualnością. A w naszych szkolnych ławach coraz częściej siedzą właśnie „inni” uczniowie, wprawdzie nie orły, ale coraz trudniejsi, agresywnie nastawieni do świata, do ludzi, często z bagażem ciężkich przeżyć. W pracy z tymi uczniami nie chodzi o cackanie się, tworzenie im cieplarnianych warunków, o zmniejszenie wymagań czy dyscypliny. Wprost przeciwnie, jednak wymagania muszą iść w parze z odpowiedzialnością za młodzież powierzoną naszej opiece.

MARIA FIC
Sosnowiec

SZKOŁA DYREKTORÓW

CD ZE STR. 9

Co mają dać te studia studiującym? Po pierwsze, dużo wiedzy zawodowej i to z różnych dziedzin; po drugie, umiejętność twórczego myślenia; po trzecie, znajomość praktyki i funkcjonowania aparatu państwowego i gospodarczego; po czwarte, wiedzę o metodach podejmowania decyzji; po piąte, doskonałą znajomość języków obcych (co najmniej dwóch). Temu też pod-

porządkowany jest plan i program studiów. I tak pierwszy semestr poświęcony jest w dużym stopniu na wyrównanie wiedzy, drugi to praktyki w konkretnych urzędach i instytucjach, trzeci zaś przygotowuje do samodzielnego rozwiązywania rozmaitych problemów dotyczących kierowania. Studia kończą się pracą dyplomową i egzaminem. Przy tym wcale nie zmierzają się do tego, by przyszły kierownik stał się swego rodzaju chodzącą encyklopedią, omnibusem. Bardziej bowiem chodzi o to, aby potrafił w odpowiednim momencie znaleźć najwłaściwszą metodę rozwiązania danego problemu. Dlatego też zajęcia poświęcone zagadnieniom np. wykorzystania techniki komputerowej mają na celu nie tyle objaśnienie, jak to działa, lecz jak z tego można skorzystać, do czego może się przydać komputer. Dlatego, przy omawianiu techniki zbierania informacji naukowo-technicznej czy prognozowania, akcent położony będzie nie tyle na to, jak się to czyni, ale na metody, ot choćby współpracy z ekspertem, na wykształcenie umie-

jętności zlecania ekspertowi zadań oraz na umiejętności wykorzystania w swej pracy gotowej już prognozy, ekspertyzy itp.

Oczywiście, tak postawione cele i tak sformułowany program wymagają innych, niż czysto akademickie, metod nauczania. Wykład, oczywiście, będzie, ale zdecydowanie przeważają metody maksymalnie aktywizujące. A więc różnego typu gry kierownicze, dyskusje panelowe, konwersatoria, wyjazdy studialne. W ramach wspomnianych np. praktyk obowiązkami studenta będzie nie tylko opracowanie analizy wybranych problemów funkcjonowania urzędu, ale także i przygotowanie, zorganizowanie od A do Z dużego sympozjum czy konferencji. Uczyć się zresztą będą ci nasi przyszli menedżerowie (bo tak ich chyba będzie można nazwać po zakończeniu nauki) retoryki, wygłaszania np. mów publicznych w języku polskim i obcym (bez kartki), zachowania w tzw. sytuacjach oficjalnych. Uczyć się będą słuchania petenta, niezależnie od tego, czy jest to chłopina z zapadłej wioski czy dyrektor depar-

tamentu ministerstwa. No i jeszcze do tego sport. 80 godzin ostrych zajęć na dwóch semestrach, które w dodatku są obowiązkowe, a kończy je zaliczenie. I wszystko to serwowane jest dyrektorom wydziałów urzędów wojewódzkich, radcom i starszym radcom ministerstw, naczelnikom miast i gmin. Czy nie jest to podobne „katuszom”, jakie przechodzą prawdziwi menedżerzy?

Porównanie to nie jest bezzasadne. Daleko, oczywiście, nam do paryskiej Ecole National d'Administration, gdzie istnieje kilka rodzajów kursów, na których kształcą się zarówno młodzież, jak i wyżsi funkcjonariusze administracji państwowej. Daleko nam do renomowanych tego typu placówek zachodnoniemieckich, mało mamy doświadczeń w porównaniu z instytucjami o takim charakterze, a funkcjonującymi w innych krajach socjalistycznych. Nie mniej mamy za sobą ten pierwszy etap. I to jest chyba cenne.

WOJCIECH SIERAKOWSKI

URLOPY I ZASIŁKI WYCHOWAWCZE DLA NAUCZYCIELEK

Pytania i wątpliwości związane z uprawnieniami matek-nauczycielek do urlopu i zasiłku wychowawczego są stałymi tematami przewijającymi się w listach i telefonach naszych Czytelniczek. Swoisty rekord pobili problem wliczania urlopu wychowawczego do stażu pracy nauczycielki.

Przeto dzisiaj, pozwalamy sobie przedstawić naszym Koleżankom małe vademecum tych uprawnień, dla większej czytelności, w formie pytań i odpowiedzi.

URLOP WYCHOWAWCZY

● Czy termin rozpoczęcia urlopu wychowawczego musi przypadać tuż po zakończeniu urlopu macierzyńskiego?

Nie. Zakład pracy jest obowiązany udzielić pracownicy urlopu wychowawczego w terminie przez nią wskazanym. Natomiast wniosek o udzielenie urlopu wychowawczego powinien być złożony przez nauczycielkę co najmniej na miesiąc przed wskazanym terminem rozpoczęcia urlopu.

● W jakim wymiarze i terminie urlop może być wykorzystany?

Nauczycielka może skorzystać z urlopu — pod warunkiem, że była zatrudniona co najmniej 6 miesięcy — w wymiarze do trzech lat, najdłużej jednak do ukończenia przez dziecko czterech lat życia.

● W jakim wymiarze może być przedłużony urlop wychowawczy w razie sprawowania opieki nad dzieckiem z defektem zdrowotnym?

W takim przypadku urlop może być przedłużony do następnych trzech lat, nie dłużej jednak niż do ukończenia przez dziecko 10 lat.

● Do jakich świadczeń nauczycielka zachowuje prawo w okresie urlopu wychowawczego?

Dla siebie i dla członków rodziny nauczycielka zachowuje prawo do świadczeń zakładów społecznych służby zdrowia oraz do zasiłków rodzinnych z tym, że na pracownicę pobierającą zasiłek wychowawczy nie przysługują świadczenia rodzinne. Nauczycielka w okresie urlopu korzysta ze świadczeń z zakładowego funduszu socjalnego i mieszkaniowego i zachowuje prawo do korzystania z ulgi przy przejazdach kolejowych.

● Czy zakład pracy może skierować nauczycielkę na studia wyższe w okresie urlopu wychowawczego?

Tak. Na studia wyższe, podyplomowe albo doktoranckie. Jednak w takim przypadku nauczycielce nie przysługują świadczenia przewidziane dla pracowników skierowanych na studia wyższe, podyplomowe lub doktoranckie. Ma ona jedynie prawo do otrzymania zwrotu kosztów przejazdu do siedziby szkoły.

● Czy nauczycielka może podjąć pracę

w szkole macierzystej lub innej w okresie urlopu wychowawczego?

Tak. Zarówno w szkole, w której jest ona zatrudniona, jak i w innej szkole albo innym zakładzie pracy — jeżeli macierzysty zakład pracy nie uwzględni jej wniosku o zatrudnienie. O zatrudnieniu w innym zakładzie należy powiadomić macierzysty zakład pracy.

● Czy w okresie urlopu wychowawczego zakład pracy może wypowiedzieć lub rozwiązać stosunek pracy?

Zakład pracy nie może w tym czasie wypowiedzieć umowy o pracę ani rozwiązać stosunku pracy. Z wyjątkiem sytuacji, gdy zachodzą przyczyny uzasadniające rozwiązanie stosunku pracy bez wypowiedzenia z winy pracownika lub gdy zakład pracy ulega likwidacji.

● Na jaki okres udziela się urlopu wychowawczego nauczycielce zatrudnionej na czas określony?

Nauczycielce zatrudnionej na podstawie umowy o pracę na czas określony udziela się urlopu wychowawczego nie dłużej niż do końca okresu, na jaki umowa jest zawarta.

● Czy okres urlopu wychowawczego wlicza się do stażu pracy nauczycielskiej?

Okres ten traktuje się jak okres zatrudnienia w zakładzie pracy, w którym nauczycielka korzystała z tego urlopu i wlicza się do stażu pracy uprawniającego do wynagrodzenia zasadniczego, wysługi lat, nagrody jubileuszowej.

● Kiedy powinien przypadać termin zakończenia urlopu wychowawczego?

Na dzień poprzedzający rozpoczęcie roku szkolnego.

● W jakim terminie nauczycielka nabywa prawo do urlopu wypoczynkowego po zakończeniu urlopu wychowawczego?

Z dniem rozpoczęcia ferii szkolnych.

ZASIŁEK WYCHOWAWCZY

● W jakim okresie nauczycielce korzystającej z urlopu wychowawczego przysługuje zasiłek wychowawczy?

Zasiłek wychowawczy przysługuje nauczycielce w okresie 24 miesięcy, licząc od

dnia zakończenia urlopu macierzyńskiego (lub urlopu na warunkach urlopu macierzyńskiego) albo urlopu wypoczynkowego przypadającego bezpośrednio po tych urlopiach. W przypadku sprawowania opieki nad więcej niż jednym dzieckiem narodziłym przy jednym porodzie lub dzieckiem z defektem zdrowia — do ukończenia urlopu wychowawczego, nie dłużej niż przez okres 36 miesięcy.

● Jaka jest wysokość zasiłku wychowawczego?

Jest ona uzależniona od dochodu na osobę w rodzinie pracownicy. Do dochodu na osobę w rodzinie nie wlicza się wynagrodzenia za pracę i zasiłku z ubezpieczenia społecznego, który nauczycielka otrzymała przed rozpoczęciem urlopu wychowawczego. Kwota zasiłku wynosi miesięcznie: 100 proc. najniższego zasadniczego wynagrodzenia miesięcznego pracownika, jeżeli dochód nie przekracza 2400 zł; 75 proc. najniższego zasadniczego wynagrodzenia — jeżeli dochód przekracza 2400, lecz nie przekracza 3000 zł; 50 proc. najniższego zasadniczego wynagrodzenia — jeżeli dochód przekracza 3000 zł, lecz nie przekracza 3600 zł.

Pracownicy samotnie wychowujący dziecko zasiłek wypłaca się w wysokości określonej wyżej i powiększonej o 100 proc.

● Kiedy zasiłek nie przysługuje?

— W razie korzystania z urlopu wychowawczego krótszego niż 3 miesiące.

— Jeżeli dochód na osobę w rodzinie jest wyższy od 3600 zł. Ograniczenie to znosi się, jeżeli przekroczenie granicy dochodu na osobę stanowi w sumie kwotę, która nie równoważy kwoty utraconego zasiłku.

— W razie zaprzestania sprawowania przez pracownicę osobistej opieki nad dzieckiem (żłobek etc.).

— W przypadku podjęcia zatrudnienia w okresie urlopu wychowawczego lub innej działalności zarobkowej — jeżeli wynagrodzenie lub dochód z tego tytułu przekracza najniższe zasadnicze wynagrodzenie miesięczne pracownika. Zasiłek nie przysługuje także w razie pobierania renty lub emerytury, jeżeli przekracza ona najniższe zasadnicze uposażenie. Prawa do zasiłku nie ma również pracownica, gdy ona lub jej mąż jest płatnikiem podatku gruntowego (powyżej 0,5 ha) lub jest podatnikiem podatku dochodowego, obrotowego.

● Czy ustalając dochód na głowę w rodzinie wlicza się rekompensatę przysługującą małżonkowi?

Nie. Natomiast jeśli do pensji włączono już rekompensatę, wówczas od wynagrodzenia małżonka odejmuje się kwotę rekompensaty, to jest 1600 zł, począwszy od miesiąca, w którym rekompensata została włączona do pensji.

★

Podstawa prawna: rozporządzenie Rady Ministrów z 17 lipca 1981 r. — w sprawie urlopów wychowawczych (Dz. Ustaw nr 19, poz. 97 z 1981 r.) i rozporządzenie Rady Ministrów z 27 stycznia 1982 r. — zmieniające rozporządzenie w sprawie urlopów wychowawczych (Dz. Ustaw nr 5, poz. 34, z 1982 r.).

Opr. T. Konarska

HELENA KASPEROWICZOWA

W lutym 1981 r. zmarła, w wieku 94 lat, Helena Kasperowiczowa, twórczyni i wieloletnia dyrektorka Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego w Warszawie, wybitny pedagog i wychowawca.

Pracę nauczycielską rozpoczęła mając lat 19. Przed I wojną światową uczyła w szkołach polskich w Petersburgu, uczestniczyła też czynnie w młodzieżowym ruchu niepodległościowym.

Od 1918 r. pracuje i działa w Warszawie, kierując upaństwowioną z jej inicjatywy szkołą średnią dla dziewcząt, jedną z najlepszych w stolicy: Gimnazjum im. J. Słowackiego. Przez pełne 33 lata szkoła ta była pasją życia i ukochanym dziełem „przełożonej”. Potrafiła skupić i związać wspólną myślą pedagogiczną grono utalentowanych nauczycieli, których osobowość, postawa zawodowa i charakter decydowały o obliczu szkoły.

Utalentowana organizatorka i administrator, umiała Helena Kasperowicz włączyć rodziców uczennic do współpracy w Kole Przyjaciół Szkoły i zainteresować placówką władze oświatowe. Dzięki tym wysiłkom gimnazjum przeniosło się w 1932 r. z ciasnych pomieszczeń w czynszowej kamienicy do nowoczesnego gmachu szkolnego przy ul. Wawelskiej 46, gdzie mieści się do dziś.

Helena Kasperowicz była gorącym zwolennikiem samorządu uczniowskiego, jako szkoły demokracji i postaw obywatelskich. Otaczała opieką drużynę harcerską i uczniowskie kółka zainteresowań, stawiając równocześnie wszystkim tym ogniwom wysokie wymagania i włączając ich działanie w jednolity, a jednocześnie otwarty i oparty na szerokiej tolerancji, system wychowawczy szkoły. Reprezentowane przez szkołę wartości humanizmu i postępu społecznego stwarzały wspólną płaszczyznę dla porozumienia i przyjaźni między młodzieżą o różnych postawach światopoglądowych. Wojna przerwała pracę szkoły.

Od początku okupacji Helena Kasperowicz stała się jedną z pierwszych wśród organizatorów tajnego nauczania. Po wyzwoleniu Warszawy, w wywołanym budynku restytuowała gimnazjum im. Słowackiego, przewodnicząc równocześnie Komisji weryfikacyjnej tajnego nauczania przy Kuratorium Warszawskim.

W latach stalowskich porzuciła funkcję dyrektora umiłowanej placówki, przeszła do pracy w Instytucie Badań Pedagogicznych.

Takiej szkoły, jak ta, pod kierunkiem Heleny Kasperowicz, chciałby żyć swoje dziecko i wnukom być wychowanką Gimnazjum im. Słowackiego.

WIKTORIA DEWITT
(rocznik maturalny 1931)



TYGODNIK
ODZNACZONY
ZŁOTA
ODZNAKA
ZNP

Redaguje zespół: Danuta Chrzczonowicz (sekretarz redakcji), Maria Kańska (zastępca sekretarza redakcji), Teresa Konarska (kierownik działu), Walentyna Łapińska (redaktor techniczny), Zenobia Miller (kierownik działu), Bożena Niedziółka, Zbigniew Pawłowski (redaktor naczelny), Krystyna Rogalska (kierownik działu), Maria Rybarczyk (zastępca redaktora naczelnego), Witold Salański, Wojciech Sierakowski, Halina Szymczak, Henryka Witalewska (kierownik działu), Zdzisław Nowak, Jan Rociński (redaktorzy graficzni), Kierownik administracyjny — Aniela Pawlak, korekta — Irena Kościelniak, Magdalena Paprzycka. Adres redakcji: ul. Spasowskiego 6/8, 00-339 Warszawa, Telefony: 25-10-11, 26-34-20, 27-66-30. Tekstów nie zamówionych redakcja nie zwraca, zastrzegamy też sobie prawo do ich skracania i opatrywania tytułami.

Ogłoszenia przyjmuje: Wydawnictwo Współczesne RSW „Prasa-Książka-Ruch”, ul. Wiejska 12, 00-490 Warszawa, Dział Wydawniczy, tel. 23-24-11 wew. 195. Ceny ogłoszeń: urzędowych 95 zł za 1 cm², drobnych 30 zł za 1 wyraz (rabat 50 proc. od ogłoszeń dotyczących poszukiwania pracy). Za przyjmowanie i wydawanie ofert pobiera się opłatę dodatkową w wysokości 50 zł. Brakujące numery „Głosu” można zamówić pod adresem: Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch” — Dział Prasy Zdecentralizowanej, ul. Towarowa 23, 00-339 Warszawa, tel. 20-12-71 wew. 239.

Warunki prenumeraty. Instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i takich, w których znajdują się siedziby oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” — zamykają prenumeratę w tych oddziałach. Pozostałe w urzędach pocztowych i u doręczycieli. Termin wstąpienia 31 maja — na III kwartał i II półrocze br., 31 sierpnia — na IV kwartał br. Prenumeratę indywidualną zamieszkal na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch”, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. Zamieszkalni w miastach będących siedzibą RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę wyłącznie w swoich urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych. Termin wstąpienia 10 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Wstąpienie dokonywać na „blankiecie wpłaty” na rachunek bankowy Centrali Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 23, 00-339 Warszawa, nr konta NBP XV Oddział w Warszawie, nr 1153-201045-139-11.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę opłaca się pod tym samym adresem. Wysyłka za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla ceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla instytucji i zakładów pracy.

Koszty prenumeraty krajowej: kwartalnie — 130 zł, półrocznie — 250 zł, rocznie — 520 zł.

Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch”, ul. Nowogrodzka 84/86, 02-017 Warszawa. Nakład 70 000 egz. M-73

NOWOŚCI NADESLANE

LITERATURA PIĘKNA

Zofia Jeżewska: **POD WIELKĄ KOŁOROWĄ BARIERĄ**. WL, Kraków 1982, s. 228, cena 60 zł.

Theodor Fontane: **EFFI BRIEST**. KIW, Warszawa 1982, s. 430, cena 80 zł.

Kornel Filipowicz: **KONCERT F-MOLL I INNE OPOWIADANIA**. WL, Kraków 1982, s. 115, cena 50 zł.

Jose Lezama Lima: **OPPIAND LICARIO**. WL, Kraków 1982, s. 345, cena 110 zł.

Edward Kopczyński: **EGZAMIN ŁOWIECKI**. WL, Łódź 1982, s. 212, cena 65 zł.

Longin Jan Okoń: **CZERWONOSKÓRY GENERAL**. WL, Lublin 1982, s. 264, cena 65 zł.

Stanisław Lam: **DZIENNIKI GWIAZDKOWE**. WL, Kraków 1982, s. 519, cena 160 zł.

Alberto Vazquez-Figueroa: **JAK WŚCIEKŁY PIES**. WL, Kraków 1982, s. 132, cena 45 zł.

Stanisław Barańczak: **ANTOLOGIA ANielskiej POEZJI METAFIZYCZNEJ XVII STULECIA**. PIW, Warszawa 1982, s. 326, cena 180 zł.

K. I. Gałczyński: **WYBÓR POEZJI**. Ossolineum, Wrocław 1982, s. 412, cena 160 zł.

PAMIĘTNIKI

Flodor Dostojewski: **DZIENNIK PISARZA**. PIW, Warszawa 1982, cena 1-III 650 zł.

Josef Trzaskowski: **ZBIÓR RÓŻNYCH DROBNOSTEK**. PAX, Warszawa 1982, s. 206, cena 160 zł.

WSPOMNIENIA, OŚWIATA

Luis Carvalan: **TROCHĘ MOJEGO ŻYCIA**. KIW, Warszawa 1982, s. 122, cena 25 zł.

OGŁOSZENIA

Standardy szkolne i harcerskie wykonuje wyspecjalizowana Pracownia „Haft Artystyczny” — mistrzowie Zofia i Henryk Kiedzik ul. Kościuszki 76 (narożnik ul. Armii Czerwonej 77) 81-892 Poznań telefon 502-14. Naerdzona medalami gwarantuje najwyższą jakość wykonania oraz dotrzymywanie terminów. Szeroka rozpiętość cen.

Małżeństwo nauczycielskie (mgr wychowania fizycznego) poszukuje pracy w szkole, warunek mieszkanie z c.o. Oferty: Wydawnictwo Współczesne. Dział Wydawniczy, Wiejska 12, 00-490 Warszawa, dla nr 34.

Przepraszam Helenę Gałczyńską zam. Zagłoba za zajęcie dnia 21 lipca 1982 r. Szczepańska.

J. Ł. Kołomiński: **DZIECIĘCE PRZYJAŹNIE SYMPATIE I NIECHĘĆ**. WSiP, Warszawa 1982, s. 305, cena 70 zł.

Stanisław Bortnowski: **SPÓR ZE SZKOŁĄ**. WL, Kraków 1982, s. 286, cena 100 zł.

IDEOLOGIA, POLITYKA

Praca zbiorowa: **O FILOZOFII I ODPOWIEDZIALNOŚCI**. KIW, Warszawa 1982, s. 142, cena 60 zł.

Andrzej Halimarski, Jerzy Lobman, Zygmunt Podlaski: **PERIN, DYPLMACJA I POLITYKA, SZKICE O CHIŃSKIEJ POLITYCE ZAGRANICZNEJ**. KIW, Warszawa 1982, s. 334, cena 130 zł.

RÓŻNE

Jerzy Laskowski: **MAŁŻEŃSTWO I RODZINA**. PAX, Warszawa 1982, s. 331, cena 200 zł.

Olgierd Budrewicz: **WSRÓD POLSKICH KANGURÓW**. Interpress, Warszawa 1982, s. 188, cena 150 zł.

Carl Gustav: **JUNG. NOWOCZESNY MIT**. WL, Kraków 1982, s. 314, cena 100 zł.

Andrzej Kotecki: **PRACOWNIA FOTOGRAFICZNA**. WSiP, Warszawa 1982, s. 134, cena 40 zł.

Mieczysław Drżdziel, Tadeusz Fijałkowski: **MASZYNY I URZĄDZENIA TYPOGRAFICZNE**. WSiP, Warszawa 1982, s. 211, cena 40 zł.

H. Jabłońska-Drozdowska, K. Krajewska: **APARATY, URZĄDZENIA I PROCESY PRZEMYSŁU CHEMICZNEGO**. WSiP, Warszawa 1982, s. 326, cena 75 zł.

Mgr matematyki z czteroletnim stażem podejmie pracę w szkole. Warunek: mieszkanie rodzinne. Oferty: Urszula Jasinska, ul. Szkolna 3/1, 62-635 Przedszcz.

38

Koleżance

GENOWEFIE DURAK

kierownikowi Szkoły Podstawowej w Sosnowcu wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci Matki składają

Gminny Dyrektor Szkół
Rada Pedagogiczna
Związek Nauczycielstwa Polskiego
Podstawowa Organizacja Partyjna
w Abramowie woj. lubelskiego

K-39

REGULAMIN KONKURSU

„Z PALETĄ W MINIONE WIEKI”

Organizator:

Galeria i Ośrodek Plastycznej Twórczości Dziecka — Oddział Muzeum Okręgowego w Toruniu przy współudziale: Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Toruniu, Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miejskiego w Toruniu.

Proponowane tematy:

1 — zdarzenie z historii regionu, 2 — legenda krążąca w okolicy, 3 — zabytki mojej ziemi, 4 — podróż w minione wieki.

W konkursie mogą uczestniczyć:

szkoły, domy kultury, pałace młodzieży itp., uczestnicy indywidualni w wieku od 6 do 15 lat. Można nadesłać nieograniczoną ilość prac w dowolnej technice (malarstwo, rysunek, grafika).

Format prac 70/50 cm, 50/42 cm lub mniejszy. Każda praca na odwrocie powinna zawierać następujące dane: Nazwa oraz adres placówki, nr kodu i województwo, nazwisko, imię oraz wiek autora, nazwisko, imię i adres pedagoga, informację, który temat pracy ilustruje (temat 1, 2, 3, 4), kartka z komentarzem autora powinna być przyklejona wzdłuż górnej krawędzi na stronie odwrotnej.

Jury dokona oceny prac, ich wyboru na wystawę oraz przyzna nagrody. W każdej grupie przyznane zostaną następujące nagrody:

- trzy równorzędne główne
- trzy nagrody pieniężne dla pedagogów z nagrodzonych placówek
- 5 wyróżnień honorowych
- 300 wybranych prac weźmie udział w wystawie pokonkursowej. Ponadto zostaną przyznane:

- nagroda Prezydenta Miasta Torunia
- 6 nagród rzeczowych, ufundowanych przez Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miejskiego w Toruniu.

Otwarcie wystawy pokonkursowej odbędzie się w Galerii i Ośrodku Plastycznej Twórczości Dziecka w Toruniu 16 listopada 1983 roku.

Nadesłane prace wejdą w skład zbiorów Galerii, a każdy uczestnik konkursu otrzyma dyplom uczestnictwa i katalog wystawy.

Termin nadsyłania prac upływa 30 kwietnia 1983 roku.

Nasz adres: Galeria i Ośrodek Plastycznej Twórczości Dziecka — Nowy Rynek 17 — 87-100 Toruń.

CO KRYJĄ OTWARTE WROTA

BOŻENA NIEDZIUŁKA

W herbie Torunia — otwarte na oścież wrota. Znak to, że jego mieszkańcy od wieków słyną z gościnności. Kojarzy nam się najczęściej z miejscem urodzenia Mikołaja Kopernika i ze smakowitymi, różnorodnymi w formie, piernikami. Ale Toruń to nie tylko licząca 750 lat historia i pełne uroku zabytkowe uliczki Starego Miasta. To również dzień dzisiejszy.

Na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika, uczelni o humanistycznym profilu, kształcą się przyszli konserwatorzy zabytków, a Wydział Sztuk Pięknych mieszczący się w dawnym Dworze Artusa zasila kadre nauczycieli wychowania plastycznego.

Charakterystyczna Krzywa Wieża to dziś siedziba znanych ze swych osiągnięć: Toruńskiego Towarzystwa Kultury i Towarzystwa Miłośników Torunia. Przede wszystkim można im chyba pozazdrościć działalności wydawniczej: seria „Biblioteczka toruńska” osiągnęła już na początku tego roku 6 pozycji. Sygnowana znakiem TTK ma popularyzować historię regionu oraz samego Torunia i Chełmna. Towarzystwo Miłośników Torunia, oprócz wydawania Rocznika Toruńskiego, opiniuje sprawy związane z historią i kulturą regionu, organizuje odczyty, recitale, spotkania z ludźmi, którym problemy miasta szczególnie leżą na sercu.

Piwnice Ratusza Staromiejskiego uczęszczają często swych szacownych, średniowiecznych wnętrza na eksponowanie współczesnej sztuki plastycznej, jak chociażby ostatnio wystawy poplenerowej „Toruń w malarstwie”. Tradycyjnie, już od 24 lat, miasto pełni funkcję gospodarza Festiwalu Teatrów Polski Północnej, który rokrocznie przez kilka letnich dni króluje nie tylko w gmachu teatru, ale i „zaraza” swą atmosferą całe miasto.

Choćby na podstawie tych przykładów widać, że Toruń to miejsce, w którym kultura buduje nie tylko historię, ale i teraźniejszość.

W CIENIU STAREGO DĘBU

Jak głosi legenda, początki Torunia sięgają czasów, gdy na te ziemie przybyli pierwsi rycerze krzyżacy, aby podjąć walkę z pogańskimi Prusami. Zatrzymali się wtedy pod potężnym, rozłożystym dębem, urządzając sobie w cieniu jego konarów — twierdzę. Stopniowo przekształciła się ona w osadę nazwaną, od określenia dogodnego tu miejsca przeprawy przez Wisłę, czyli drogi — toru, Toruniem. Historyczną natomiast datą jest rok 1233, w którym wielki mistrz zakonu krzyżackiego, Herman von Salza, nadał mu prawa miejskie. I od tego momentu rozpoczął się bujny rozkwit nadwiślańskiego grodu. Drewniana zabudowa wkrótce, bo już pod koniec XIII wieku, ustąpiła miejsca nowej architekturze, która na obszarze Starego i Nowego Miasta przetrwała do dzisiaj.

Pomimo gospodarczej prosperity, torunianie pragnęli wyrwać się spod krzyżackiego panowania. W trakcie bitwy pod Grunwaldem rycerstwo ziemi chełmińskiej nie usłuchało rozkazów Krzyżaków i złożyło broń. Miasto znalazło się w polskich rękach.

Czasz stabilizacji nie trwały jednak zbyt długo. Gród, szybko rozwijający się ekonomicznie i kulturalnie, słynący w świecie z urządzanych trzy razy do roku jarmarków zwanych kontraktami toruńskimi gromadzącymi międzynarodowe kupiectwo, często nękały najazdy obcych wojsk, a wraz z nimi kontrybucje, pożary, spustoszenie i dziesiątkujące jego mieszkańców — głód i zaraza. Najpierw Krzyżacy, potem Szwedzi, a następnie Prusacy próbowali utrzymać nad nim swą władzę. Mimo to związek Torunia z Polską nigdy nie uległ zerwaniu.

Podwaliny pod przyszłą działalność uniwersytecką zostały poczynione już w XVI wieku, kiedy to z inicjatywy ówczesnego burmistrza i typowego przedstawiciela Od-

rodzenia — Henryka Strobanda, założono w mieście protestanckie Gimnazjum Akademickie. Wówczas w pewnej mierze pełniło ono funkcje uniwersytetu. Toruń, znany z religijnej tolerancji, przyciągał najświatlejsze umysły z całej prawie Europy. To tu odbyło się, z udziałem Amosa Komensky'ego, sławetne „colloquium charitativum”, mające uzgodnić poglądy różnowierców.

Monumentalny ratusz, gotyckie, pełne powagi świątynie, dostojne kamienice, wyroby rzemiosła artystycznego, dzieła sztuki — dają dziś świadectwo dostatkowi i kulturze mieszczan toruńskich w okresie średniowiecza. Odrodzenie natomiast zaznaczyło się tu nie tylko w nowych formach architektonicznych, ale również w rozwoju piśmiennictwa, kompletowaniu wspaniałych zbiorów bibliotecznych, a także malarstwa i rzeźby.

Nie wszyscy pamiętają, że w okresie Księstwa Warszawskiego Toruń krótko pełnił funkcje stolicy, a w 1812 roku gościł Napoleona. To tu właśnie, w 1859 roku, miejscowy drukarz, Ernest Lambeck, dokonał pierwszego na ziemiach polskich przedruku emigracyjnego wydania „Pana Tadeusza”. A założone w 1875 roku Towarzystwo Naukowe istnieje do dzisiaj.

Okres międzywojenny przyniósł kolejne ożywienie gospodarcze, naukowe, kulturalne, artystyczne. Do Torunia zaczęli ścinać liczni polscy twórcy, chcąc w ten sposób zamianować polskości tych terenów. Wśród nich nie zabrakło ludzi tej miary co filozof Roman Ingarden, malarz Julian Pałat, krytyk literacki i twórca manifestu modernizmu — Artur Górski. Tzw. Konfraternia Artystów zawiązana przez Pałata, Górskiego i Ottona Steinborna w okresie międzywojennym, jako pierwsze na tych ziemiach zrzeszenie cyganerii artystycznej, odegrała rolę animatora kultury. Nawiązywała do tradycji młodopolskiego Krakowa i miała ustrój cechowy: przewodził majster, dwaj podmajstrzy, pisarz i podskarbi; wszyscy członkowie nazywali siebie konfratrami, a zaproszonych gości tytułowano fratrami. Organizowano więc odczyty i dyskusje, prenumerowano czasopisma i tworzone własne biblioteki, podejmowano działalność wydawniczą. Wieczory konfraterniane uatrakcyjniali tacy twórcy jak Stanisław Ignacy Witkiewicz czy Tymon Niesiołowski.

Obok rozwijającej się Konfraterni Artystów, zaczęła działać Książnica Miejska im. Kopernika. Toruńscy miłośnicy książki skupieni w Towarzystwie Bibliofilów im. Joachima Lelewela zasłynęli licznymi publikacjami o wysokim poziomie edytorskim, a towarzystwo to istnieje do dzisiaj. Natomiast starania o stworzenie w Toruniu uniwersytetu nie przyniosły wówczas powodzenia.

W okresie międzywojennym rozgłos zyskał też toruński teatr. Występowali tu: Maria Dulebianka, Stanisława Wysocka, Wanda Siemaszkowa, Wojciech Brydziński, Józef Kotarbiński. Repertuar obejmował głównie klasykę polską i obcą, ale dyrektorzy — najpierw Mieczysław Szpakiewicz, a później Karol Benda — licząc się z gustami tej części publiczności, która szukała tu rozrywki i zabawy, wprowadzili do repertuaru wodewile oraz komedie najmodniejszych wówczas autorów.

Zwykło się mówić, że działalność kulturalna musi, szczególnie dzisiaj, opierać się na pomysłowości i inwencji twórców. Tarapaty finansowe jednak, zwłaszcza tam gdzie w grę wchodzi tzw. dobra kultury materialnej, dają się ostatnio Toruniowi bardzo we znaki. A cały problem w rewaloryzacji zabytkowych kamieniczek Starego i Nowego Miasta, które

URZEKAJĄ I WOŁAJĄ O POMOC!

Przechadzając się głównym deptakiem Starego Miasta, ul. Szeroką, gdzieś gdzie widzi się rusztowania. A ruch tu przez cały



Fot. Archiwum

dzień bardzo duży. Jest to rejon centrum handlowo-usługowego, mieszka tu 15 tysięcy torunian. Nie sprzyja to z pewnością choćby doraźnym remontom. A Starówka wymaga przede wszystkim kompleksowej, systematycznej rewaloryzacji.

Przeciętnego turystę ta część miasta urzeka fasadami kolorowych kamieniczek, różnorodnością stylów architektonicznych. Charakterystyczna, czworoboczna sylwetka wielokrotnie przebudowywanego średniowiecznego ratusza, w którym dzisiaj mieści się Muzeum Okręgowe, jest miejscem, od którego właściwie można zacząć zwiedzanie. Za punkt orientacyjny posłuży wyniosła, widoczna pawet z daleka, wieża gotyckiego kościoła św. Jana, z której dwa razy do roku — podczas procesji Bożego Ciała i na rezurekcję — odzywa się głos „Tuba Dei” czyli „Trąby Bożej”. A jest to drugi co do wielkości, po krakowskim „Zygmuncie”, dzwon w Polsce. Jego dolna średnica — 2,17 m, a podobno, żeby go poruszyć — trzeba 16 silnych mężczyzn.

Spśród mijanych domów chyba największej uroku zachowała barokowa, o bogatym wystroju zewnętrznym, kamieniczka „Pod Gwiazdą”, położona przy Rynku Starego Miasta. Mieści się w niej Muzeum Dalekiego Wschodu. Nadwątłone siły można natomiast odzyskać nad filiżanką kawy w najstarszej toruńskiej kawiarni, zwanej „Gospodą Pod Modrym Fartuchem”, mieszczącej się przy Rynku Nowego Miasta i choć pochodzącej aż z XVII wieku, nadal jednak kipiącej życiem. Centralnie usytuowany na tym placu poewangelicki zbór dał natomiast lokum ... magazynom. Trwają wprawdzie starania o przekazanie zboru na potrzeby kultury, ale jak na razie można go sobie obejrzeć tylko z zewnątrz.

Nie każdy, zwiedziony powierzchownym pięknem Starówki, uświadamia sobie, że za okalającymi ją fragmentami ceglanych murów miejskich z przełomu XIII i XIV wieku kryje się 800 budynków wymagających niemal natychmiastowej pomocy konserwatorów. I choć Toruń robi, co może, aby urealnić program rewaloryzacji, nie jest w stanie przeprowadzić tych prac we własnym zakresie. Torunianom marzy się uchwała rządowa o konkretnej, materialnej pomocy na rzecz zabytków ich grodu. Sami są w stanie rewaloryzować 10 budynków rocznie, a przy tym tempie robót większa część budynków po prostu się rozsypie. Wywołanie uchwały rządowej — jak podkreślają władze miejskie — byłoby najcenniejszym osiągnięciem obchodów 750-lecia miasta. Powinno na tym zależeć chyba nie tylko im.

A tymczasem odnawia się elewacje budynków, zabezpiecza przed zniszczeniem to, czego na razie nie można rewaloryzować. W monumentalnym, gotyckim kościele Najświętszej Marii Panny stoją nie tylko rusztowania, ale i robota wre całą parą. To samo i w innych, wymagających remontów, świątyniach.

Z MYŚLĄ O NAJMŁODSZYCH

Utrzymany w stylu wiedeńskiej secesji gmach Teatru im. Wilama Horzycy to miejsce wzruszeń i artystycznych przeżyć nie tylko dorosłej widowni. I chociaż w repertuarze teatru często pojawiają się dramaty tej miary co „Szewcy” Witkacego, nie wpływa to jednak na niechęć dyrekcji czy zespołu aktorskiego do wystawiania sztuk z myślą o najmłodszych widzach. Systematycznie raz w sezonie mali torunianie mogą wybrać się do Teatru im. Horzycy i chociaż mają też własny teatr lalkowy „Baj Pomorski”, chętnie obcują z prawdziwą sceną dramatyczną, gdzie bajkowi bohaterowie to nie kukiełki, lecz żywi ludzie.

Z pewnością godny odnotowania, a nawet „ściągnięcia” przez inne sceny w kraju, jest pomysł programu ostatniego spektaklu dla dzieci pt. „Planeta Bajka”. Na zamówienie teatru Lucyna Legut napisała kilkanaście wierszy — historyjek, z których dziecko w przystępnej dla siebie formie dowiaduje się, co znaczą słowa: reżyser, scenograf, aktor, sufler i inne określenia używane w teatrze. Cały program ma formę zabawnie ilustrowanej książeczki i jako taki wart jest chyba rozpropagowania nie tylko w Toruniu.

Natomiast teatr lalkowy „Baj Pomorski” wychodzi niejako do dzieci i w ramach programu edukacji kulturalnej organizuje cykliczne imprezy w szkołach miasta i województwa. „Teatr przy stoliku”, „Teatrzyk ożywionej lektury” czy „Bawimy się w teatr” to tylko niektóre z organizowanych przez „Baj” spotkań aktorów z najmłodszymi.

W roku jubileuszu Torunia, działająca tu Galeria i Ośrodek Plastycznej Twórczości Dziecka, jedyna tego typu placówka w Polsce i jedna z nielicznych w Europie, ogłosiła konkurs o charakterze ogólnopolskim. Nazwa „Z paletą w minione wieki” odzwierciedla jego cel: uwrażliwienie dzieci i młodzieży na tradycję historyczną okolic, w których mieszkają. Stąd gorący apel organizatorów, aby pedagodzy zachęcali swych wychowanków do udziału w konkursie. Regulamin konkursu zamieszczamy na str. 11.

ZA TYDZIEŃ:

- W Lublinie — ROZMOWY POSŁÓW Z NAUCZYCIELAMI
- W opinii rektorów — DZIŚ I JUTRO UCZELNI WYŻSZYCH
- ZWIĄZEK W DZIAŁANIU — relacje naszych reporterów
- Rozmowa z prof. Kazimierzem Boczałem o spółdzielczości
- ZESZYTY HISTORYCZNE NR 22 „PZPR na drodze do Października”